Nr. 50. Poznań, dnia 13-go grudnia 1903. Rok VII.

# PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

## Treść nr. 50-go.



Szanownych Czytelników a szczególnie tysiączne zastępy przyjaciół „Pracy", którzy z serdeczną życzliwością grupując się wokoło mego wydawnictwa, uprzyjemniali mnie i redakcyi tak ciernistą nieraz służbę publiczną, zawiadamiam niniejszem, że — pod nawałem zajęć i obowiązków niemniej ważnych — oddałem wydawnictwo moje z dniem 1-go grudnia w ręce kilku obywateli, o których mam to zupełne przeświadczenie, iż godnie i szczytnie pojmując obowiązki obywatelskie, niemniej jako wydawcy „Pracy" służyć będą z chlubą naszej wspólnej sprawie.

Nie chcąc jednak zerwać wszystkich nici serdecznych, jakie przez szereg lat wiązały mnie z „Pracą, przystąpiłem do spółki, przejmującej me wydawnictwo, i nigdy nie przestanę zajmować się niem żywo.

Zawiadamiając o tem Szanownych Czytelników upraszam ich, aby równą sympatyą darzyli nadal „Pracę", która — mam nadzieję — rozsiewać będzie w jeszcze szerszych kołach światło poczucia narodowego i myśli polskiej.

*Marcin Biedermann.*

Szanowni Czytelnicy! Przejmując wydawnictwo „Pracy" — pod firmą: *„Praca", Drukarnia Nakładowa, Spółka z ograniczoną poręką* — nie otwieramy nowej karty w jej dziejach, lecz przystępujemy do jej wydawnictwa pod tym samym znakiem, który zdobił zawsze ten zaszczytnie znany i szeroko rozpowszechniony organ, wiódł go pod strzechy zarówno jak do dworów i jednał mu serca polskie nad Wartą, Wisłą, Odrą, w Galicyi i na dalekiej obczyźnie.

Każde pismo polskie u nas, obok celów kulturalnych, winno mieć misyę społeczną. A misya najpiękniejsza, jaka wyłania się z całokształtu stosunków pod tym zaborem polega na pracy dla ludu.

W imię Boże, w myśl praojców naszych i w duchu szerokich nowoczesnych poglądów „Praca" pracować będzie dla ludu, dla ogółu, aby stać się nietylko czynnikiem wychowawczym i skarbnicą naszych wspólnych trosk, zabiegów, dążeń i nadziei, ale szkołą przygotowawczą do służby publicznej i drogowskazem do lepszej przyszłości.

„W świątyni miłości Ojczyzny powinna rozstrzygać prawdziwa zasługa bez różnicy stanu". Wszyscy uprawnieni jesteśmy do obrony naszych skarbów narodowych i dóbr materyalnych. Powołać na szańce ochronne jaknajwięcej bojowników, przyłożyć rękę do uspołecznienia i usamodzielnienia jaknajliczniejszych zastępów — jest naszym ideałem.

Ufamy, że w tych usiłowaniach towarzyszyć nam będzie ze strony wszystkich warstw społeczności sympatya, która znajdzie w nas wdzięczne echo i stanie się bodźcem dla „Pracy".

Z tem zapewnieniem witamy Was, szanowni czytelnicy, bratnim uściskiem dłoni.

Maciej hr. Mielżyński. Dr. Felicyan Niegolewski. Dr. Alfred Chłapowski. Marcin Biedermann. Karol Rzepecki.

# *Antypolski konik.*

Państwo pruskie mieni się być cywilizowanem, ba! rości pretensye do wyższej cywilizacji, ale kieruje się wobec nas na każdem polu pojęciami, które mogłyby wyeliminować je po za nawias cywilizowanych mocarstw. I tak za konieczną kwalifikacyę sine qua non każdego urzędnika na „kresach wschodnich,“ od listonosza do naczelnego prezesa, poczytuje się nienawiść do Polaków. Mniejsza o to, czy urzędnik nadaje się na odnośne stanowisko, nie potrzebuje on też uważać się za sługę społeczeństwa, lecz musi nienawidzić żywioł, do którego służby jest powołanym a który na utrzymanie machiny urzędniczej łoży, i musi w granicach swej możności nastawać na ten żywioł według recepty hakatystów. Są to stosunki nietylko niezdrowe i demoralizujące, ale wprost urągające fundamentalnym zasadom, na jakich opierają się systematy administracyjne w krajach kulturalnych. Odczuwając to, hakatyści osłonili swoją gospodarkę wygodnym frazesem o ratowaniu uciemiężonej niemczyzny.

Znając stosunki wiedzieliśmy z góry, czego możemy spodziewać się po nowym naczelnym prezesie naszej dzielnicy. Zresztą wybór pana Waldowa na miejsce pana Bittera przyjęła prasa hakatystyczna takiemi okrzykami radości, jakby chciała nam zwiastować, iż p. Waldow będzie starał się być jeszcze więcej Bitterem od zdetronizowanego prezesa, prześcignąć go w polakożerczej robocie, jednem słowem, że od razu dosiędzie antypolskiego konika i pocznie wygrażać nam pięścią przy oklaskach hakatystycznego motłochu.

P. Waldow nie kazał długo czekać na swe dzieła. Niemal na wstępie zaatakował społeczeństwo polskie na punkcie duchowieństwa, wywierając nacisk na władzę duchowną, by zapędzić kleryków do hakatystycznej akademii. Materyą tę poruszaliśmy nieraz, więc nie będziemy już rozbierać jej z polsko-katolickiego punktu widzenia; pragniemy tylko podkreślić, że nawet ze stanowiska kulturalnego i niemieckiego przymuszanie do nauki w tym wypadku można nazwać gwałtem a przypuszczanie kleryków, którzy wszystkie potrzebne wykłady mają w seminaryum, do czerpania wiedzy ze źródła hakatystycznego, jest *gwałceniem sumienia*, które w jakibądź przejawia się sposób, jest tyranią duchową.

W tem państwie konstytucyjnem istnieje przymusowa nauka w *szkołach ludowych*, ale nie w gimnazyach i akademiach. P. Waldow zaś tak postępuje, jakby chciał przymuszać do uczęszczania do akademii! To nie zaleca tej instytucyi, bo cóż to za akademia — powie niejeden — do której trzeba gwałtem pędzić słuchaczów!

A czy ten dzielny debiut pana Waldowa nie jest tylko pierwszym krokiem do zamknięcia seminaryum, czy nie nosi się on z innemi zamiarami w celu złamania polsko-obywatelskiego ducha w dorastającem polskiem duchowieństwie — pyta się ogół nasz i gotuje do odparcia ciosu. Nim p. Waldow odsłoni swoją nową kartę pod tym względem, nie chce próżnować, więc chwycił się szykanowania księży, bo widocznie za tarczę swych pocisków obrał sobie wyspę tumską. Jak wiadomo spowodował on znany okólnik do proboszczów, mający na celu powiększenie liczby nabożeństw niemieckich. Można podziwiać bajeczną gorliwość pana Waldowa, ale nie jego inwencyę. Okazuje on jaknajlepsze (!) chęci dokuczenia duchowieństwu, lecz nie wie, czego się chwycić, bo jest rzeczą wiadomą, że władza duchowna dba o to, by wszędzie odbywała się dostateczna ilość nabożeństw dla Niemców i że Niemcy-katolicy przesiąkli wpływami złotodajnego hakatyzmu sami, rozpisując się po polakożerczych blattach o rzekomych krzywdach, nagabują duszpasterzy ze skutkiem o coraz to nowe nabożeństwa niemieckie, na które nie chodzą. Więc czy wobec tego p. Waldow może żywić jakie obawy? Z pewnością nie, lecz chce zamanifestować, iż radby wogóle skasować polskie nabożeństwa.

Jeżeli dodamy, że p. Waldow w osobistych stosunkach z Polakami nie odznacza się uprzejmością, że przyzwala na wydalania obcych poddanych polskiej narodowości i na rożne inne podobne [illegible] podwładnych władz, będziemy [illegible] zarys charakterystyki naczelnego prezesa, którym miłościwy rząd chciał nas uszczęśliwić.

Mając namacalne dowody, iż naczelny prezes godzi głównie w nasze duchowieństwo, zanosimy prośbę do naturalnych zwierzchników kleru, aby naporowi hakatystycznemu przeciwstawili o ile możności największą energię i unicestwiali zakusy germanizacyjne. A zadanie to wdzięczne, jeźli zważymy, że gwałt każdy wywoluje reakcyę, że z posiewu hakatystycznego zbieraliśmy nieraz owoce dla naszego narodu, i wreszcie, że z każdem mężnem wystąpieniem władzy duchownej solidaryzować się będzie całe nasze społeczeństwo. Wdzięczne zaś zadanie staje się łatwiejszem.

„Der Hieb ist die beste Deckung“!

---

# *Światła i cienie.*

I.

## W przedziale czwartej klasy.

Wracałem z dyplomem doktorskim. Wzdęty niby balon poczuciem mej świeżej godności byłbym może zadzierał nosa ponad trzodę pospolitych śmiertelników, gdyby okoliczności nie były złożyły się tak szpetnie, iż wiozłem mój patent na mądrość — czwartą klasą.

Szczerze mówiąc — chociaż szczerość nie licuje z mądrością — okoliczności, które wysuszyły na wyjezdnem z Berlina moją akademicką kieskę, zwały się po prostu bibą. Ot, grzebało się akademickie kości, żegnało wspomnienia, otwierało nowy okres życia, przyczem ktoś z kolegów nabrał mnie na kilka srebrnych znaczków i tak jedno z drugiem.... Ale było wesoło, a ostatecznie czwartą klasą także człek zajedzie do domu.

O zmierzchu ocknąłem się i wpółsennem, wpółzdziwionem okiem powiodłem po niezwykłem środowisku — ciemnej, posępnej klatce drewnianej, oświetlonej nieśmiało sinawym blaskiem.

Nie wielu nas było. Naprzeciwko mnie chrapało jakieś skulone Niemczysko z wygasłem cygarem w palcach. Kapelusz spadł mu na nos, głowa na piersi i tak wydobywał z siebie gamę chrapliwych dźwięków. W kącie inny jegomość przylepił policzek czule do ściany, a pomiędzy nimi dwóch robotników z narzędziami jakiemiś we workac spoczywało na ławie, raz po raz zamieniając słowo. Gdy odwróciłem się do okna spotkałem promień niebieskich oczu mego sąsiada, z ciekawością strzelających ku wioskom, które mijaliśmy. W źrenicach jego tliła się iskra inteligencyi. A przecież był to mężczyzna pospolitej kondycyi: porządnie z miejska odziany, lecz w ciężkich butach, z obliczem przycienionem chłopską ogorzelizną. Ręce silne, spracowane znamionowały robotnika. Krając scyzorykiem chleb i kiszkę, żuł powoli i co chwila wyzierał przez okno.

Ranek był zgniły, widnokrąg zasnuty siatką dżdżystej mgły, nad którą wisiała ołowiana kopuła. Pod wpływem smutku wiejącego z polskich ugorów, pogasły niby latarnie drgawki wesołych myśli i padł na mnie jakiś ciężar, przygniatający do ziemi. Zdało mi się, że pędzę, że nurzam się w zamęt wieczystej szaroty, milczącej troski — bez kresu, bez wyjścia, bez nadziei.

Przymknąłem powieki i zatopiłem

powiedział jeden z ojców chrzestnych hakatyzmu i tak być może, jeźli cios taki zabija. Natomiast wręcz przeciwnie mają się rzeczy, jeźli pod ciosem tym hartuje się grzbiet, budzi się duch i staje do walki obronnej.

Wobec tego p. Waldow niech nie obiecuje sobie z swej działalności pożądanych owoców. Nie zareklamuje się on nawet przez to w oczach hakaty, która w gruncie rzeczy musiała przyjść już do przekonania, że polityka jej nie prowadzi do niczego, jeźli nie do wyposażenia żywiołu polskiego w hart. Więc tędy p. Waldow nawet do serca hakaty nie trafi, której chodzi jedynie o to, aby żłób był pełny i hojna zapłata za patryotyzm.

Daleko przeto p. Waldow nie zajedzie na antypolskim koniku. Polakożerstwo prowadzi na wyższe szczeble tylko niższych urzędników. Wprawdzie niejeden dygnitarz, olśniony oklaskami towarzyszącemi mu na wstępie, wróżył sobie świetną przyszłość. Nie znamy jednakże ani jednego, który na tym popularnym koniku zdobyłby wyższe stanowisko. Wygrażanie Polakom niezdolne też zasłonić braków i wad dygnitarzy, jak uczą obrady w izbach parlamentarnych. Na razie podoba się to, ale wnet przemija wrażenie czczego efektu niby fajerwerku, który silniej oddziaływać może jedynie na bezmyślny tłum.

Natomiast znamy wysokiego urzędnika, który lubo na antypolskim koniku wojował z zapałem, wyjechał za drzwi. Nazwiska tego pana nie potrzeba chyba przypominać panu Waldowowi.

*Quis.*

# Szowinizm stronniczy.

Minęły ciężkie chwile stronniczych walk wyborczych! Tak samo jak przed pół rokiem przy wyborach do parlamentu odniosło stronnictwo ludowe czyli demokratyczne zupełne zwycięstwo, przy wyborach do sejmu pruskiego wprowadzając posłów Dr. Skarżyńskiego, Dr. A. Chłapowskiego, Dr. F. Niegolewskiego, Dr. H. Szumana, L. Grabskiego, X. Stychla i śp. Józefa Głębockiego na arenę walk politycznych w Berlinie. Nawet porażka objawiająca się w upadku kandydatury p. Franciszka Morawskiego, jest tylko pozorną, jeśli się zważy, że jedynie los rozstrzygnął na niekorzyść stronnictwa ludowego, które wypadkiem tym pouczone, lepiej w przyszłości przypatrzy się delegatem pod względem ich wyrobienia i charakteru politycznego. Faktem bowiem jest, że kandydatura p. Franciszka Morawskiego przepadła nie dlatego, że delegaci powiatu kościańskiego, śmigielskiego i grodziskiego byli jej — wbrew uchwałom wyborców — przeciwni, lecz dlatego, że dwóch delegatów ludowych nie przybyło, a dwóch innych dopuściło się poprostu zdrady stronnictwa.

Nie chcąc popadać w „szowinizm stronniczy,“ nie wymieniamy nazwisk; palmę pierwszeństwa w objawach szowinizmu czyli zacietrzewienia stronniczego pozostawiamy raczej „Dzien. Pozn.“; niechaj z nim walczy niemniej poważny „Kuryer Pozn.“. Oba te pisma z okazyi śmierci wodza stronnictwa ludowego, ś. p. Józefa Głębockiego, objawiły cynizm swój i zapalczywość, mściwość, ciasnotę serca i umysłu w całej nagości. Ale nie wystarcza tym panom negować zasługi, szarpać, obniżać wartość osobistą człowieka; oni idą dalej: zwalczać chcą posiew jego pracy i krytykują zaraz na wstępie rozpoczętej akcyi parlamentarnej Koło polskie w sposób, jakoby mężowie tamże zasiadający byli żakami, których dopiero p. Dr. Łebiński lub X. Zimmermann rozumu musi uczyć.

Próżne usiłowania! Reprezentanci kierunku ludowego w Kołach poselskich naszych tak zżyli się z nami, tak przejęli się zasadami o „pracy w kraju,“ „zachowaniu godności narodu w Berlinie,“ że nie potrzeba było wcale wzoru i wpływów ś. p. Józefa Głębockiego, aby z nich wyrobić dzielnych szermierzy tejże samej idei. Czyżby byli zostali posłami, gdyby tak nie było, czy zdołaliby zdobyć sobie zaufanie wyborców, gdyby życie ich poprzednie nie dawało nam pod tym względem gwarancyi zupełnej?!

To też szowinizm, który zawsze jest złym doradzcą, przyniesie znowu klęskę konserwatystom i klerykałom jeżeli w Środzie i Śremie upierać się będą przy kandydaturze Cegielskich, Dziembowskich et tutti quanti firm sławnych z epoki ugodowej. Czy nie mamy nazywać zacietrzewieniem, jeżeli „Dziennik Poznański“ w oktawę po pogrzebie wodza stronnictwa ludowego stawia kandydatury najzaciętszych jego przeciwników? Czy nie jest to przesadą jeżeli wraz z „Kuryerem“ mianuje pana dr. Romana Szymańskiego „dyktatorem“ Księstwa i przypisuje mu wpływy i zaznacza, jakoby wszyscy inni działacze w stronnictwie

---

się w obłoku wpółsennych, bezprzedmiotowych rojeń.

Nagle, zaraz za Zbąszyniem, wszedł z hałasem do naszego przedziału konduktor i, żądając okazania biletów, pobudził uśpionych, którzy sapaniem dawali wyraz niezadowolenia z niemieckiego porządku.

Z kolei zbliżył się do mego sąsiada.

— Wohin fahren Sie? (Dokąd pan jedzie?)

Chłop po długiej chwili milczenia odparł donośnie po polsku:

— Jo jade do Czeluścina.

— Wohin fahren Sie?? — powtórzył natarczywie konduktor.

— Jo jade do Czeluścina — brzmiała znowu odpowiedź.

— Was heisst das Tschelusz?! (Co to znaczy Czelusz?...) So eine Station giebt's nicht! (Takiej stacyi nie ma!) Sie meinen Bismarcksfelde (Ma pan na myśli B.) — zżymał się urzędnik oglądając podany bilet. — Sie müssen doch wissen wohin Sie... (Musi pan wiedzieć dokąd...)

— Jo jade do Czeluścina — powtórzył raz jeszcze chłop podniesionym głosem jakby do głuchego i zerknął bystro w oczy konduktora, który zachłysnął się i wyrzekł pokornie:

— Verstehen Sie nicht deutsch? (Czy nie rozumie pan po niemiecku?) Na to chłop znowu począł swe stereotypowe:

— Jo jade.....

Niemiec pokraśniał jak burak, mruknął coś w brodę i zamaszyście wyszedł z przedziału, trzaskając za sobą drzwiami.

Na obliczu mego sąsiada rozlał się blask zadowolenia i uśmiech zadrgał w kącie ust.

Z uczuciem nieokreślonego zawstydzenia podniosłem oczy na niego, a on, czując mój wzrok na sobie, odwrócił się, zerknął rozweselonemi oczyma i, trąciwszy mnie łokciem, bąknął z cicha:

— Panie, jo umiem po niemiecku dobrze. Jadę z Bruchu we Westfalii.

— A czemu to?... — począłem indagować, by usunąć wszelkie wątpliwości co do motywu, jaki nim kierował.

— Tam co inszego, ale tu u nos niech się taki . . . . nauczy po naszemu. Jo nie jade do Bismarcksfelde — dorzucił z naciskiem — jo jade do Czeluścina......

Pociąg tętniał i dudnił.

Wyjrzałem na świat, który wydał mi się teraz czegoś jaśniejszym.....

A w pierwszej klasie?.... Nie ma to jak — w przedziale czwartej klasy!

*Roman Rola.*

ludowem byli w panu Romanie zakochani po uszy i ślepo pozwolili się mu powodować? Lub czy nie jest szowinizmem jeżeli ktoś potępia w czambuł Koło parlamentarne za to, że przyjęło posła Kulerskiego, albo że eliminowało — nieobecnego na posiedzeniu (!) — ks. prałata Jażdżewskiego z komisyi parlamentarnej?!

Szowinizm — to zły doradzca!

Ale jeżeli z jednej strony widzimy zapalczywość i zawiść to niestety nie możemy także zamknąć oczu na zacietrzewienie w obozie naszego stronnictwa — stronnictwa ludowego. W jednym z ostatnich numerów „Orędownika“ wymieniono posłów Polaków w parlamencie i poprzylepiano im niejako kartki: „ludowiec,“ „ugodowiec“ na całe przyszłe pięciolecie; to samo spotkało 40 delegatów, naszą najwyższą władzę wyborczą; prowokowano niejako tych panów do nadesłania 40 sprostowań w guście: „nie jestem ludowcem, ale wszechpolakiem,“ „nigdy ugodowcem nie byłem, ale jestem konserwatystą,“ „noszę rewerendę wprawdzie, ale nie jestem ani ugodowcem, ani klerykałem“ i t. d. w 40 odmianach! Doprawdy dziwić się musimy jak mógł tak wytrawny publicysta jak p. dr. Roman Szymański w podobny sposób wystawić na sztych sojuszników stronnictwa, jak mógł z pominięciem wszelkich względów taktycznych odkrywać karty przed nieprzyjacielem, który czyhał na sposobność, aby w znany swój terorystyczny sposób zohydzać osobistości, kłuć špilkami, zabijać ducha samodzielnego myślenia i straszyć bojkotem towarzyskim lub ekonomicznym! Przysługi panom delegatom ludowym nie wyrządził pan dr. Szymański, a obóz przeciwny poruszy tem do żywego jak gniazdo szerszeni!

Szowinizm to zły doradzca!

Alea jacta est — kości rzucone! Nie łudźmy się; za kilka tygodni zawrze na nowo walka stronnictw o władzę w komitetach powiatowych, o władzę w delegatach.

Zachęcać do niej nie potrzebujemy i nie myślimy; wyrażamy raczej przekonanie, że idea postępu, prawdziwego demokratyzmu, oraz poszanowania praw ludu tak ogromnego w ostatnich latach doznała rozwoju, a konserwatyzm przytem tak jaskrawe popełnił błędy, że bez zaburzeń i zamieszek wybrana będzie większość delegatów przekonań postępowo - ludowych.

Unikajmy przytem walki klas, szanujmy każdy zawód, każdy stan, rugujmy konserwatyzm, wybierajmy najgorliwszych do pracy, najczystszych charakterem i najwięcej zasłużonych, a tem samem złożymy dowód, że dojrzałem jesteśmy społeczeństwem.

*Wyborca.*

# W zaraniu sesyi *parlamentarnej.*

**Berlin,** dnia 5 grudnia.

W czasie zapasów wyborczych tak do sejmu jak do parlamentu ujawniło się wielkie wzrastające zainteresowanie się ogółu sprawami narodowemi. Chwilami może przybierała walka trochę za ostre i szorstkie formy, dość jednak że w najlepszej intencyi podjęta i prawdziwym duchem narodowym natchniona akcya stronnictwa ludowego dała dowód rozbudzonego uświadomienia u tych nawet warstw, które lubo współczując zawsze z ogólnym ruchem społecznym, w braku organizacyi i łączności pomiędzy sobą zarówno jak i z innemi czynnikami w akcyi wyborczej dawniej nie brały decydującego udziału. Wprawdzie i tu zaprzeczyć się nie da, że w walce o zasady polityczne rozgorączkowane umysły przekraczały niekiedy granicę uprawnionej obrony zasad, dawały się unieść zapałowi dla dobrej sprawy i kierując się osobistemi względzikami, występowały przeciw osobom jako takim, atoli niezaprzeczenie wyłoniła się z tej walki zwycięsko myśl przewodnia, która powinna stać się hasłem w naszem życiu politycznem wogóle,—myśl otwarcia dla wszystkich warstw zamkniętych dotąd podwoi do działalności obywatelskiej.

**Powtóre uwidocznił się fakt, iż zerwaliśmy — oby na zawsze — ze złudną marą ugody i paktowania z wrogiem.**

Po tylu gorących utarczkach wysłało społeczeństwo nasze do Berlina reprezentantów, którym ufa, iż występować będą czy to w Kole polskiem, czy w izbie parlamentarnej w imie idei, która zwyciężyła na polu walki wyborczej. Mając pewność, że ideały ludu polskiego i słuszne postulaty jego w gronie poselskiem parlamentarnem zawsze zwyciężą, ogół winien ułatwiać we wszystkiem trudne zadanie przedstawicielom swym tak wystawionym na pociski.

A pożyteczną i zbawienną pracę można umożebnić tylko, darząc *całe* grono poselskie zaufaniem i ży-

# Z literatury i sztuki.

W pięknej i bogato ilustrowanej szacie nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazała się monografia, która w nielicznym szeregu wydawnictw naszej literatury estetycznej wybitne zajmie miejsce. *Tytuł monografii „Henryk Siemiradzki“. Napisał ją pokrewny mistrzowi duchem artysta, Stanisław Lewandowski.*

Autor rozpoczął swoją pracę jeszcze za życia mistrza, i dlatego nie wspomina w niej o szczegółach biograficznych, lecz przystępuje do rozbioru działalności artystycznej Siemiradzkiego, poświęcając każdej wybitniejszej jego pracy mniej lub więcej obszerną ocenę krytyczną.

„Działalność Siemiradzkiego — mówi autor — usiłowałem zrozumieć i ocenić z możliwą bezstronnością, na jaką stara się zdobyć człowiek, szanujący tradycyę i historyę sztuki, a ceniący wszystkie jej kierunki, byle one były szczere, uczciwe i nie przesiąkłe szarlataneryą chwili albo charakteru.“

Wspaniałe pod każdym względem wydawnictwo zdobią 93 ilustracye w tekscie, 10 heliograwiur, 2 kolorowe podobizny szkiców olejnych i portret twórcy „Pochodni Nerona.“

* * *

Nakładem znanej księgarni lwowskiej H. Altenberga ukazał się pierwszy zeszyt wspaniałego wydawnictwa p. t. „Sztuka polska.“

Jest to wzorowany na tego rodzaju wydawnictwach angielskich i niemieckich, ale przewyższający je pod względem wykonania artystycznego, zbiór reprodukcyi barwnych celniejszych dzieł sztuki polskiej.

Zeszyt pierwszy zawiera 4 reprodukcje z obrazów: Matejki, Grottgera, Kossaka i Malczewskiego, oraz tekst, omawiający charakterystykę twórczości każdego z tych artystów, pióra St. Tarnowskiego, J. Bołoza-Antoniewicza, St. Witkiewicza i A. Łady Cybulskiego.

Wydawca zaznacza, że jeżeli wydawnictwo odpowie celowi, to równolegle z rozpoczętym właśnie działem pierwszym, obejmującym malarstwo, otworzy także działy rysunku i rzeźby. Zamierzone są również wydania z tekstem czeskim, niemieckim; francuskim i angielskim dla ułatwienia dostępu do naszej sztuki ogólnoludzkiej kulturze artystycznej.

Nie należy wątpić, że wydawnictwo to nietylko celowi swemu odpowie istotnie, ale także znajdzie u ogółu przyję-

cztiwością. Nie twórzmy dzisiaj w zaraniu sesyi parlamentarnej frakcyi, nie dopatrujmy się różnic w tendencyach, nie różniczkujmy drobiazgowo.

Zgodnie i ze szczerym zapałem rozpoczęło nasze grono posłów pracę, wszyscy wobec wspólnego wroga podali sobie nawzajem dłoń, odrzucając od siebie daleko partyjne waśnie. Zapadłe w Kole uchwały świadczą, że stronnicze względy zanikły w obliczu ogromnego zadania. Wszyscy w poczuciu obywatelskiem zrozumieli, że rozpoczyna się ważna, wymagająca wytężenia wszystkich sił kampania. Jak powiedział poseł Stychel nad grobem nieodżałowanego śp. J. Głębockiego, jasna ocena sytuacyi i prądów doby bieżącej łączy dzisiaj wszystkich w wspólnej działalności.

Tem więcej przeto mogą posłowie oczekiwać a nawet żądać od społeczeństwa, szczególnie zaś od prasy, żeby nie rozrywała złączonych dłoni, nie rozniecała niechęci lub uraz osobistych, krytykując pod ciasnym stronniczym kątem rozdział funkcyi i urzędów w Kole poselskiem.

Oczywiście nikt nie odmawiał ogółowi ni prasie prawa krytykowania działalności posłów, lecz przestrzegamy przed szkodliwem w skutkach a przedwczesnem tworzeniem lub akcentowaniem w ich łonie przeciwieństw i zawiści, które są od nich dalekie na szerokiej arenie parlamentarnej. Jeżeli prasa nie chce paraliżować akcyi naszych przedstawicieli, winna o tem pamiętać.

*M—ski.*

## Z niwy politycznej.

(Q.) *Koło polskie parlamentarne* na pierwszem swem posiedzeniu ukonstytuowało się jak następuje:

Prezesem wybrany: ks. Ferd. Radziwił, wiceprezesem Leon Czarliński.

Sekretarzami: Roman Janta-Połczyński, M. hr. Mielżyński. Kwestorem: Wł. Wolszlegier.

Do komisyi parlamentarnej wybrani prócz prezesa, należącego z urzędu do takowej: Leon Czarliński, dr. Skarzyński. Ich zastępcy: dr. Chłapowski, M. hr. Mielżyński.

Do komisyi budżetowej: ks. dr. Jażdżewski. Do komisyi rugów wyborczych: Brejski. Do komisyi petycyjnej: Korfanty.

Koło wyznaczyło do konwentu seniorów: ks. Radziwiłła, jako zastępcę Leona Czarlińskiego.

Jednym z ośmiu sekretarzy parlamentu wybranym został z pośród polskich posłów hr. Maciej Mielżyński.

* * *

(Q.) *Posłowie Korfanty i Kulerski* zostali przyjęci do Koła polskiego, pierwszy „gładko bez żadnego dysonansu“, drugi po gorącej dyskusyi. Inaczej być nie mogło gdyż § 1. ustaw Koła opiewa:

„Polacy wchodzący w skład parlamentu niemieckiego tworzą Koło polskie.“ Wobec tego nie można było żadną miarą zamknąć drzwi do Koła przed panem Kulerskim.

Ponieważ jednak został on wybrany wbrew uchwale prawowitej władzy wyborczej, która wniosła protest przeciw przyjęciu pana K. do Koła na ręce prezesa, powzięło gremium posłów naszych uchwałę, zawierającą naganę dla secesyi, ale stwierdzającą niemoc wobec *„dotychczas* zobowiązujących“ ustaw.

(Q) *Posłowie Królik i Szmula* nie czują się u siebie w gronie centrowców. Z obawy, aby wpływy polskie nie oddziaływały na posła Królika, centrowcy usadzili go jak najdalej od ław polskich, co wywołało śmiech pomiędzy Polakami. Czy p. Królika takim naiwnym sposobem da się odstręczyć od Polaków — jest więcej niż wątpliwem. Według „Gaz. Tor.“ poseł Szmula ma być wielce rozgoryczonym na centrowców. Jeżeli frakcya centrowa w sejmie przyjmie p. Vogta — obranego w Opolu w miejsce pana majora Szmuli zamierza on wystąpić z centrum. Nie można przesądzać, czy p. Sz. wstąpi potem do Koła polskiego, dość jednak, że mandatu nie złoży. Nie ma do tego najmniejszego powodu jako wybraniec Polaków śląskich, któremu część centrowców przeciwstawiła wbrew woli komitetu hrabiego Ballestrema.

* * *

(5) W Księztwie trwa jeszcze *ruch wyborczy*. Mamy bowiem wybierać nowe Komitety powiatowe na lat 5 i nowych delegatów do najwyższej władzy wyborczej, która w styczniu wybierze znowu Komitet Prowincyonalny na dalsze pięciolecie. Pamiętajmy wybierać na delegatów ludzi postępowych; konserwatyści i klerykaliści zawsze zwalczają dążności ludowe i tak pozostanie na przyszłość. Jaki skład delegatów takim też będzie Komitet prowincyonalny.

Stolica Wielkopolski zrobiła początek. Wybrano do Komitetu 36 obywateli, połowa dawnych, połowa nowych, a starano się dobrać ludzi czyn-

---

cie bardzo życzliwe, przedstawia się bowiem, krótko mówiąc, doskonale, jest tanie i wypełnia brak dawno odczuwany przez tych, których zajmuje twórczość rodzima artystyczna.

* * *

*Akademia sztuki w Warszawie.* Na profesorów zakładanej w Warszawie wyższej szkoły sztuk pięknych przedstawiło do zatwierdzenia ministerstwo dworu artystów: Stabrowskiego, Ruszczyca, Tichego, Dunikowskiego i Krzyżanowskiego. Ministerstwo przesłało propozycyę tę do opinii władzom miejscowym.

* * *

Zeszłoniedzielny koncert Filharmonii warszawskiej dostarczył sposobności do *entuzyastycznej owacyi dla najpopularniejszego z dzisiejszych poetów polskich, Kazimierza Laskowskiego* (*Ela*). Zapowiedź, że El wygłosi z estrady kilka swoich utworów, wypełniła po brzegi wielką salę Filharmonii. Wejście poety powitane zostało grzmotem niecichnących oklasków. El deklamował wiersze: „Dziewczyno, daj gębusi, daj!“, ustęp z „Pogrzebu“, „Psiakrew to życie!“ i „Serca szczędź“. Burzliwe oklaski nie pozwalały poecie zejść z estrady i były dowodem, do jakiego stopnia Berenger polski zdobył sobie serca nietylko Warszawianek, ale i całej Warszawy.

* * *

Jeden z ostatnich koncertów „Filharmonii“ warszawskiej nęcił nietyle blaskiem „gwiazd“ świata wirtuozowskiego — choć i pod tym względem publiczność doznała przyjemnej niespodzianki — ile zawartością samego programu. Wśród tego programu pierwsze miejsce zajmował *„Manfred“ Byrona z muzyką Schumanna*, a właściwie parafraza tego poematu scenicznego, złożona z najwybitniejszych scen dzieła, skojarzonych z sobą artystycznie w całość, zastosowaną do wymagań estrady koncertowej, a w pięknej i jędrnej polszczyźnie odtworzoną przez Gabryela Kempnera.

Ową całość autor przeróbki ułożył w ten sposób, że role męskie: Manfreda i jego trzech sług, oraz strzelca i opata, skoncentrował w osobie jednego deklamatora, epizodyczne zaś role żeńskie: Astarty, królowej Alp, Nemezys, Parki i Ducha w jednej osobie deklamatorki.

nych, gorliwych i już wypróbowanych w pracach wyborczych. Delegatem obrano nadal p. Karola Rzepeckiego, znanego ze swej prawdomówności i przekonań demokratycznych.

W przyszłą niedzielę mają się odbyć zebrania w Mogilnie i Kępnie. Powiat ostatni dbać powinien o wybór jaknajliczniejszego komitetu i odpowiedniego delegata.

* * *

(5) *Komitet Centralny*, ta od dawna upragniona władza najwyższa polska wyborcza, dojdzie nareszcie niebawem do skutku. W Środę ubiegłą odbyła komisya odnośna ostatnie posiedzenie, na którem przyszło do kompletnej jednomyślnej zgody po 6-cio godzinnej dyskusyi. Z Księstwa brali udział w obradach dr. Celichowski, K. Rzepecki i ks. prałat Wawrzyniak. Z Prus poseł L. Czarliński, ks. dr. Wolszlegier i Sas Jaworski, ze Śląska dr. Hanke i adwokat dr. Różański, z Brandenburgii p. Karol Rose, z Westfalii poseł Brejski. Uchwalono ostatecznie ustawy i jest pewność absolutna, że na początku przyszłego roku Polski centralny Komitet Wyborczy stanie się faktem dokonanym. Na wiadomość tę każde szczere serce polskie żywą zabije radością a duchy inicyatorów śp. W. Niegolewskiego i L. Rzepeckiego oraz żyjącego L. Czarlińskiego niechaj czuwają nad dalszą komitetu pracą!

* * *

(Q) Jednak *na „ski,“ a nie na „ska“* mają się kończyć żeńskie nazwiska polskie według życzenia Prus. W parlamencie niemieckim zapadła uchwała, aby zaprzestano takich praktyk tj., aby zaprzestano takich praktyk t. j., aby urzędnicy stanu cywilnego zapisywali nazwiska żeńskie z końcówkami żeńskiemi. Ponieważ zaś ustawy parlamentu niemieckiego unicestwiają ustawy poszczególnych państw, rząd pruski winien był ogłosić tę ustawę w zbiorze praw jako zobowiązującą. Tymczasem.... zapomniano o tem dotąd. Jest to wyraźnem pogwałceniem konstytucyi niemieckiej.

Sprawę tę wytoczył poseł dr. Dziembowski na walnem zebraniu wyborców miasta Poznania, a zebranie upoważniło Koło parlamentarne do wniesienia interpelacyi w tej materyi i wyświetlenia przed parlamentem bezprawia.

# Zamknięcie
## uniwersytetu warszawskiego.

*Warszawa*, 5 grudnia.

Patrząc na tutejszą młodzież akademicką, uczuwa się żal głęboki, że tak dobry w swych pierwiastkach, tak podatny materjał sił duchowych marnieje w ogromnej części pod opieką kierowników naukowo bardzo miernych, a pod względem moralnym niezdolnych wywierać dodatniego wpływu.

Na czele uniwersytetu widzi się nie prawdziwych mężów nauki, lecz w znacznej części czynowników o mniej niż średnich kwalifikacjach profesorskich; nie przyjaciół garnącego się do nauki młodszego pokolenia, lecz dozorców wrogich, szpiegów policyjnych, śledzących bacznem a nienawistnem okiem każdy ruch, każdą dążność młodzieży, gaszących zawzięcie zapał wszelki, tamujących samodzielność myśli i swobodę działania.

Zastrzeżona ministerjalnemi przepisami wolność akademicka schodzi tu do zera — wolą studentów jest wola rektora i ślepo idących za jego wskazówką profesorów. Ztąd chroniczne niezadowolenie wśród młodzieży, ztąd też raz wraz powtarzające się awantury, których wykonawcami są wprawdzie studenci, lecz sprawcami właściwymi kierownicy uniwersytetu. Przyczyną jest prawie zawsze zlekceważenie żądań, albo też pogwałcenie woli młodzieży.

Takiem pogwałceniem było też nadużycie imienia całej wszechnicy i imienia młodzieży uniwersyteckiej przy pogrzebie smutnej pamięci działacza Apuchtina. Były ten kurator okręgu naukowego, znienawidzony porówno przez polską jak przez rosyjską młodzież i nawet przez cara Mikołaja, nie darzony bynajmniej łaską monarszą, zapisał się w pamięci Królestwa Polskiego, jako działacz, który obniżanie oświaty i demoralizowanie kraju poczytywał sobie za cel życia.

Podczas gdy cała młodzież akademicka bez wyjątku ani myślała go uczcić w chwili zgonu i zachowała postawę zupełnie obojętną, rektor Uljamor, człowiek o instynktach poziomych i ograniczonej inteligencyi, złożył na trumnie apuchtinowskiej wieniec imieniem całej wszechnicy warszawskiej, a więc też i młodzieży uniwersyteckiej, przy pogrzebie zaś profesor Nikolski, z wydziału medycznego, pożegnał zwłoki imieniem studentów, wysławiając przymioty byłego kuratora i podnosząc zasługi jego w zakresie propagandy prawosławnej.

To brutalne narzucanie woli studentom, nadużycie ich imienia i obrażenie ich uczuć wywołało słuszne oburzenie.

---

Pierwszą z tych wiązanek ról „Manfreda“, oczywiście główną, najważniejszą i najtrudniejszą, deklamował znakomity artysta dramatyczny i deklamator, p. Józef Kotarbiński, drugą —p. Stanisława Wysocka, a orkiestra chóry i soliści wszystkie zjednoczyli wysiłki, by to niepospolite i piękne dzieło poety i muzyka w najbardziej artystycznej uzmysłowić formie.

* * *

*Nowy utwór dramatyczny, jednoaktowy obrazek p. Maryana Tatarkiewicza, „W sieciach Satyra“* ukazał się świeżo na scenie warszawskiego teatru Rozmaitości. Krytycy oceniają tę jednoaktówkę nadzwyczaj pochlebnie.

„Tatarkiewicz — pisze p. Władysław Rabski w „Kuryerze Warszawskim“ — maluje w słońcu. Ranek się budzi i gaj się budzi i uśpiony satyr się ocknął. Pławi się w słońcu i w pożądaniu lubieżnem, marzy o białych piersiach i różowych ustach nimfy-kochanki.

I oto nagle zjawia się student i pensjonarka, ale w rokokowych kostjumach i w sympatycznej stylizacji rokoka. Przed trzema laty gaj ten rozbrzmiewał ich szczebiotem dziecięcym. Potem on w świat wyjechał, a ona tęskniła za towarzyszem swych zabaw. I teraz znów się spotkali i chcieliby znowu gonić motyle, jak dawniej, i układać wiersze na zgon lalki stłuczonej. Ale zarumieniły się ich dusze młode i jakby onieśmielone wsłuchują się w echa swych wspomnień. Coś im gra w piersiach, coś szumi i śpiewa. [illegible] i — [illegible] — czemu się tak śmiejesz? — ustami przywarł do nóg swej kochanki. I odtąd już nie kleiły się wcale wspomnienia dziecięce. On tulił ją, ona płakała. I nie umiałaby powiedzieć dlaczego, czuła tylko, że w tym gaju cuda się dzieją. A chłopiec objął ramieniem dziewczynę, lecz zaniepokojony jej łzami, nie miał odwagi pić pocałunków dziewiczych. A satyr pękał od śmiechu.

Poszli. Po chwili w gaju słychać znowu słowa kochania, lecz tym razem krzywi się satyr-niecnota, bo w sieci swoje złowił parę bardzo leciwych turkawek. Może to siostra starej Telimeny, może to „Marcowy kawaler.“ Fauniu, nie wierzgaj nogami!

I rozpoczyna się duet miłosny, ale czar prysł, poemat zmienił się w farsę. Tam była pieśń, cudna pieśń majowa, tu katarynka odstrojona, tam całowały się motyl i róża, tu na [illegible]

Zebrali się na auli uniwersyteckiej nasamprzód studenci Polacy stronnictwa narodowo-demokratycznego, ażeby zaznaczyć protest przeciwko do konanemu gwałtowi.

Następnie zgromadzili się wolnodumcy i socyalni demokraci, bez różnicy narodowości, a więc wspólnie polscy i rosyjscy studenci; gdy zaś policya zabroniła im wstępu w progi uniwersytetu, wtedy jeden z akademików, Rosyanin uderzył w twarz wicepolicmajstra Seyfferta.

Wtargnąwszy do sali uniwersyteckiej rozpoczęto obrady. Uchwalono wysłać deputacyę z protestem do rektora Uljanowa. Gdy tenże odmówił przyjęcia delegatów, zażądano, ażeby sam na zebranie przybył.

Zjawił się też istotnie, ale zawezwaniem do rozejścia się i groźbą, że jeżli do jego woli się nie zastosują, natenczas weźmie do pomocy policją. Studenci odpowiedzieli wezwaniem, ażeby wysłuchał ich protestu. Odczytano go nasamprzód po polsku a następnie w przekładzie rosyjskim.

Tymczasem przed gmachem wszechnicy zebrały się już znaczne zastępy policyi, żandarmerji i kozactwa. Osaczywszy studentów, wychodzących z gmachu, odebrano kilkudziesięciu z nich karty legitymacyjne i spisano protokuły.

Po tych zajściach rektor, zamknąwszy uniwersytet, wysłał raport do Petersburga — naturalnie z ilustracją, przedstawiającą zachowanie się studentów w jak najgorszem świetle, a w jak najlepszem postępowanie jego i pomocników. Nic więc dziwnego, że studenci usilują teraz dotrzeć jakiemibądź drogami, do samego ministra oświaty Sengera, który też w swoim czasie, jako następca Apuchtina, umiał sobie zjednać w Warszawie sympatję i zaufanie, a, o ileby się dało, do bawiącego w Skierniewicach cesarza Mikołaja, ażeby się uskarzyć na pogwałcenie uniwersyteckiej swobody i prowokację ze strony rektora.

Oto w zwięzłości przebieg zajść, charakteryzujących z jednej strony uniwersytecką zwierzchność, z drugiej młodzież akademicką, jednoczącą się mimo różnicy narodowości w obronie niezawisłości myśli i uczuć, solidaryzującą się w proteście przeciwko czczeniu człowieka, który we właściwem znaczeniu człowiekiem nie był wcale.

Mylnem atoli byłoby przypuszczenie, jakoby młodzież rosyjska złączyła się w tym razie z kolegami polskimi, wiedziona szczególną jakąś sympatją lub poszanowaniem dla narodowych naszych uczuć. Są co prawda między studentami rosyjskiej narodowości jednostki szlachetne, współczujące z nami zupełnie, ale jest ich stosunkowo nie wiele. Natomiast dużo rosyjskich akademików skłania się ku socjalnej demokracji i pokrewnym prądom a na tym terenie spotyka się i brata z odłamem młodzieży polskiej tych samych idei. Będąc zaś młodymi szermierzami wolności, muszą oczywiście też być przeciwnikami takich figur, jak Apuchtin — a ztąd ich solidarne z Polakami działanie.

Wśród naszej młodzieży przeważają prądy narodowo-demokratyczne, z socjalizmem nie mające nic wspólnego.

Lubo motywy były różne, to jednak zgodność i solidarność okazała się tak wielką, że zaledwie kilku pozostało w odosobnieniu. Okoliczność ta, a przedewszystkiem fakt, że najskrajniej zachowali się *studenci rosyjscy*, sprawi zapewne, że sprawa następstw groźnych pod postacią zbiorowych relegacji z wszechnicy itp. nie spowoduje, a kto wie, czy nie nakłoni cara Mikołaja i ministerstwa oświaty, do zmian, których dobro i przyszłość młodzieży tak gwałtownie wymaga.

O ile młodzież jak w tym wypadku, tak wogóle ,przybiera zawsze postawę wierną z istotnemi uczuciami, o tyle w opinii publicznej panuje tu nienawiść i hypokryzja. Okazało się to znów jaskrawo z okazji 40 letniego jubileuszu konsekracji biskupiej warszawskiego arcypasterza ks. Wincentego Chościak-Popiela. Usposobienie ogółu społeczeństwa do zwierzchnika archidyecezji warszawskiej jest bardzo chłodna, ponieważ nie tylko nie umiał zżyć się uczuciami ze społeczeństwem naszem, lecz nawet nie potrafił chronić kościoła od rusyfikacyjnych inwazji. W pamięci Królewian zapisał się między innemi rozporządzeniem swem, ażeby manifest cara Mikołaja, z okazji wstąpienia na tron wydany, odczytano po kościołach nie tylko w polskim, lecz i rosyjskim języku. Takich niesympatycznych wspomnień z jego archiepiskopatu jest więcej. Jeżli przeto praca tutejsza tak szczodrze pali kadzidła w jubileuszowej chwili, to świadomie głosi nieprawdę i nieoddaje wyrazu opinii całej Warszawy i kraju. Gdy prawdy szczerej wypowiedzieć nie można, to lepiej już milczeć, niż skłamać.

*Slavus.*

---

tam drżały wargi dziewicze w półświadomej tęsknocie pieszczoty, tu stara afektacja i stara lubieżność łączą się w umizgach rutynowanych. A faun wesoły westchnął sentencjonalnie: „Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość umiała!“

I to już wszystko. Ale w tym pięknym pastelowym drobiazgu jest tyle miękkości, tyle humoru, tyle finezji i taki ładny grymasik, że nie waham się zaliczyć tej bluetki do najpiękniejszych ornamentów repertuaru bieżącego. Nie jest ona nowa w pomyśle, ale świeża, subtelna i niezmiernie wdzięczna w opracowaniu. A że jest mała, cóż z tego? I w kropli wody przegląda się słońce.“

* * *

*Nowa komedya Stanisława Kozłowskiego p. t. „Reduta“* wystawioną była po raz pierwszy dnia 6-go grudnia w Warszawie na scenie teatru Wielkiego, na benefis zasłużonego artysty, p. Bolesława Leszczyńskiego, święcącego w tym roku 45 lecie swojej pracy scenicznej.

„Reduta“ otrzymała nowe dekoracye i kostyumy. Akcja „Reduty“ rozgrywa się w Warszawie w 1821-ym r.

*—ski.*

# Z TYGODNIA.

Cicho i skromnie odbyło się tym razem otwarcie nowej sesyi *parlamentu niemieckiego.* Zasłonięty tron cesarski uprzytomniał nielicznej garstce posłów niemieckich, którzy na ten akt przybyli, ciężką chorobę monarchy i usposabiał ich jakoś nie wesoło, tak że podczas mowy od tronu, odczytanej w zastępstwie cesarza przez kanclerza hr. *Bülowa,* zapomnieli o tradycyjnych oklaskach. Co prawda, nie było też powodu do oklasków. „Nigdy zapewne jeszcze, — pisze jedna z niemieckich gazet berlińskich, nie otwarto parlamentu niemieckiego mową od tronu tak suchą, beztreściwą i „nic nie mówiącą,“ jak tym razem. Zdawać by się mogło, że ci, którzy ją układali, wobec choroby cesarza wprost się obawiali zająć stanowisko względem kwestyi, domagających się rozwiązania i załatwienia. Nawet zapowiedziana w mowie od tronu reforma finansów Rzeszy, której oczekiwano z takiem zainteresowaniem, przedstawia nam się dziś, gdy mamy już w ręku dokładny jej projekt, jako dzieło połowiczne, które nikogo zadowolić, a Rzeszy spodziewanego pożytku przynieść nie zdoła. Rzekoma ta reforma polega przecież tylko na uproszczeniu obrachunków między Rzeszą a poszczególnemi jej państwami. Co gorsza zaś, zdaje się zapowiadać między wierszami nowe podatki pośrednie, dla ludności bardzo uciążliwe.

„Dziwnym sposobem, — zauważa

rzeczona gazeta dalej — zdradza mowa od tronu „mistrzowską“ rękę swego autora jedynie w tem, co w niej — *przemilczano*. Uderzającem także jest, że podczas gdy w dawniejszych takich enuncyacyach wyrażano niemal *pewność*, że pokój ogólny utrzyma się i nadal, zawiera dzisiejsza pod tym względem jedynie wyrazy *nadziei i życzenia*. Kwestyą *macedońską*, którą dawniej traktowano lekko, oznacza się obecnie jako „bardzo trudną“, przyznaje się nawet, że zainteresowane w niej w pierwszym rzędzie mocarstwa jak *Rosya i Austrya*, usilują zapobiedz „*poważnym* zawikłaniom“. A więc i pod tym względem miarodajne koła berlińskie nie są wolne od poważnej obawy. O zatargu między *Rosyą* i *Japonią* na dalekim wschodzie azyatyckim, mowa tronowa nie wspomina ani słówkiem, co tem bardziej uderza, ponieważ zatarg ten zaostrza się coraz bardziej i grozi na seryo *krwawą wojną*. Ludność *Japonii* ogarnia coraz bardziej zapał wojenny, a i w *Rosyi* nie braknie, jak się zdaje czynników wysoko postawionych, które z rozmaitych przyczyn pragnęłyby doprowadzić spór do wojennego starcia.“

Tak pisze owa gazeta berlińska a mniejwięcej tak samo zapatruje się na mowę tronową cała niezależna prasa niemiecka. Nie trudno dostrzedz też w jej głosach objawów i wyrazów przygnębienia.

Pod nieszczególną tedy wróżbą rozpoczęła się pierwsza sesya nowego parlamentu. Obawiano się także, że już przy wyborze *marszałków* przyjdzie w nim do starcia między większością, a socyalnymi demokratami, gdyż głoszono, że socyaliści nie wyrzekną się dobrowolnie prawa do krzesła pierwszego wicemarszałka, które daje im liczebna siła ich stronnictwa. Obawa ta jednak się nie spełniła, wybór odbył się dość gładko. Kandydat socyalistów otrzymał tylko 68 głosów. Marszałkiem wybrano ponownie hr. Ballestrema, wicemarszałkami hr. *Stolberga* i profesora *Paaschego*, nacyonał-liberała.

Prezydyum to uważać musimy za wrogo względem nas usposobione. Rozprawy nad budżetem rozpoczęły się dnia 10 bm. *Koło polskie* również już się ukonstytuowało. Piszemy o tem na innem miejscu ,tu wyrazimy jedynie szczere nasze zadowolenie, że tak posła *Korfantego* jak i posła *Kulerskiego* Koło przyjęło jako członków swoich.

Wracając do wspomnianej poprzednio sprawy zatargu *rosyjsko-japońskiego*, zaznaczyć tu jeszcze musimy, że obiegają pogłoski iż w Petersburgu tak zwana „kamarylla dworska“ przeciw cara i rozważniejszych mężów stanu do wojny. Wogóle nadchodzą z Rosyi wieści niepomyślne. W całym caracie panuje podobno silne uczucie, które zapowiada groźne rozruchy jeszcze podczas zimy. Ludność wiejska cierpi straszną nędzę, ludność robotnicza opanowana jest przez agitatorów socyalno-rewolucyjnych. Że i w kołach rządowych nie wszystko w porządku, za tem przemawia, jak się zdaje także fakt, iż nowy minister finansów Pleske który dopiero przed dwoma miesiącami objął urzędowanie, już otrzymał „urlop“ i zastąpiony został nowym dygnitarzem.

*K. O.*

# Rusini w Galicyi.

II.

Zanim opowiem wam inne przykłady, zadające kłam skargom Rusinów na rzekomy „ucisk“ polski, zboczę na chwilę, rozdzielając zupełnie bezstronnie i porówno światła i cienie, w tę dziedzinę, w której owe skargi wydają się *na pozór* najbardziej uzasadnionemi, a mianowicie w dziedzinę *wyższego* szkolnictwa. Czynię to i z tej przyczyny, ponieważ sprawa, która spowodowała posłów ruskich do opuszczenia Sejmu galicyjskiego, do tej należy dziedziny i zapewne najprędzej też da Niemcom powód do wytykania nam naszej „dwulicowości i „niesprawiedliwości“.

Że w dziedzinie szkolnictwa *ludowego* skargi ruskie są najzupełniej niesłuszne i niczem nieusprawiedliwione, to wykazali już przed dwoma laty posłowie wasi wobec napaści posła *Sattlera*. Ograniczę się tu więc tylko na przytoczeniu kilku cyfr, które to udowadniają. Otóż w roku szkolnym 1901/2 istniało w Galicyi szkół polskich *2083*, a szkół ruskich *1984* — co — odpowiada mniejwięcej dokładnie liczebnemu stosunkowi wzajemnemu obu narodowości. Inaczej ma się rzecz co do *gimnazyów*. Tego rodzaju szkół posiada Galicya razem 33, w tej liczbie *29 polskich* a *tylko 4* (cztery) czysto *ruskie*. Tu dysproporcya, gdy zważymy, że Rusini stanowią blisko *połowę* całej ludności galicyjskiej, wydaje się rzeczywiście wielką i rażącą. W gruncie rzeczą taką atoli nie jest. Nasamprzód należy wziąć na uwagę, że ludność *polska* w Galicyi posiada znacznie większy zastęp inteligencyi, niż ludność *ruska*, tak samo znacznie liczniejsze tak zw. sfery „wyższe“ i „średnie“ z których głównie rekrutują się uczniowie gimnazyalni. Że u ludności polskiej istnieje większa potrzeba szkół wyższych, niż u Rusinów to wykazują następujące cyfry: ogółem uczęszczało w wymienionym poprzednio roku szkolnym do gimnazyi galicyjskich uczniów 17,334. W tej liczbie było uczniów polskich 13,609, czyli 78 procent a tylko 3339 uczniów *ruskich* — 19 procent. Wynika z tego jasno, że gdyby już dziś dano Rusinom taką samą liczbę gimnazyów, jaką posiadają Polacy, ogromna ich większość świeciłaby pustkami.

Z tych 3309 uczniów ruskich uczęszczało do gimnazyów *czysto ruskich* 1467, do gimnazyów polskich zaś 1842. Ruskie gimnazya mamy: we *Lwowie* (433 uczniów) i w *Tarnopolu* (213 uczniów.) Widzimy więc, że ruskie gimnazya nie są bynajmniej *przepełnione*, ani nie w przybliżeniu tak, jak większa część polskich, wśród których mamy jedno z przeszło 1000 uczniów, dwa z 800 do 900 uczniami, dwa z 700 do 800 uczniami, a pięć z przeszło 600 uczniami. Przyczyną tej nierównej frekwencyi polskich a ruskich gimnazyów jest ta okoliczność, że bardzo dużo rodziców ruskich nawet tam, gdzie istnieją gimnazya ruskie, woli synów swych posyłać do gimnazyów *polskich*. I tak we *Lwowie* uczęszcza do gimnazyów *polskich* blisko 200 uczniów *ruskich*, *w Tarnopolu*, gdzie gimnazyum ruskie liczy tylko 213 uczniów — aż 126 do gimnazyum polskiego.

Tu wypada nam zaznaczyć dla tych Czytelników „Pracy“, którzy nie znają stosunków galicyjskich, że uczniowie *ruscy* uczęszczający do gimnazyów *polskich* w wschodniej Galicyi, nie są bynajmniej pozbawieni nauki swego ojczystego języka. W kilku istnieją nawet paralelki ruskie, klasy równoległe, z ruskim językiem składowym, *we wszystkich zaś obejmuje plan nauki zupełnie dostateczną liczbę godzin, poświęconych nauce języka ruskiego i ruskiej literatury*. Nie ma więc najmniejszej podstawy do twierdzenia, że w gimnazyach polskich *gwałtem* polszczy się młodzież ruska.

Przypatrzmy się teraz bliżej żądaniom Rusinów, aby im założono nowe gimnazyum w *Stanisławowie*. Gimnazyum — to szkoła, której utrzymanie dużo kosztuje. Trudno więc wymagać, aby ją otwierano dla stosunkowo szczupłej liczby uczniów. Żądanie Rusinów byłoby uzasadnione najzupełniej, gdyby do gimnazyum polskiego w Stanisławowie uczęszczało conajmniej 201 uczni ruskich. Ale tylu ich tam niema, jest ich tylko 157 —

a więc liczba jak na osobne gimnazyum bardzo mała.

Mimo to, jak już zaznaczyłem w mojej korespondencyi o exodusie posłów ruskich, Sejm galicyjski mógłbył spełnić to żądanie Rusinów, a może nawet *powinien* je był spełnić, aby zamknąć usta agitatorom ruskim, skarżącym się o upośledzenie żywiołu ruskiego w tej dziedzinie. Mogę was też zapewnić, że większość posłów polskich byłaby to uczyniła, gdyby nie były tu w grę wchodziły inne względy. Do tych zaliczę przedewszystkiem to, że Rusini żądali spełnienia swego żądania wprost wymusić na Sejmie i to za pomocą rządu austryackiego. To najbardziej zrażało posłów polskich, strzegących słusznie jak oka w głowie autonomii kraju. Postanowiono tedy pokazać Rusinom, że *tylko Sejm galicyjski jest w tej dziedzinie kompetentny*, że tylko od Sejmu zależy, czy mogą lub nie mogą otrzymać nową szkołę. I z tej przyczyny odłożono założenie tej szkoły na czas późniejszy. Jakkolwiek tym motywom nie można odmówić pewnej racyi, sądzę jednakże, że w tym wypadku względy użyteczności powinny były bardziej zaważyć na szali. A użyteczniejszem dla Galicyi byłoby, gdyby Sejm był uniknął nowego zatargu.

Ale nawet tak się zapatrując na tę sprawę, trudno uważać ów exodus Rusinów z Sejmu za uzasadniony i usprawiedliwiony. Już z cyfr pop... ...ch wynika dowodnie, że odmówienie im nowego gimnazyum w Stanisławowie nie było znów dla nich krzywdą tak wielką, iżby wymagała takiego ostatecznego kroku.

A teraz porównajmy położenie Rusinów i w tej dziedzinie także z waszem *położeniem w zaborze pruskim*. Rusinów jest w Galicyi około 3 milionów — was w zaborze pruskim blisko 4 miliony. Rusini mają cztery czysto ruskie gimnazya a we wszystkich innych swoich częściach kraju, zupełnie dostateczną sposobność do kształtcenia się w ojczystym języku i do nauki literatury ojczystej. Jakże bylibyście szczęśliwi, gdyby i Wam dano chociaż tylko *cztery* czysto polskie gimnazya z polskim językiem wykładowym, np. dwa w Poznańskiem i po jednym na Śląsku i Prusach Zachodnich! Tymczasem o tem ani marzyć nie możecie, co więcej, nietylko wyrzucono już z waszych gimnazyów zupełnie naukę języka polskiego, ale nadto tę biedną młodzież polską, która prywatnie się w nim kształcić pragnie, najsurowsze spotykają kary.

A zatem — położenie Wasze w zaborze pruskim z położeniem Rusinów w Galicyi ani w przybliżeniu porównać się nie da, — ci zaś, którzy z trybuny parlamentarnej ośmielą się wytykać Wam rzekomy ucisk ludności ruskiej w tej części Polski — zdadzą jedynie nowy egzamin *złości i głupoty*.

*Galicyanin.*

## Przegląd prasy.

Przez zgon nieodżałowanego posła Józefa *Głębockiego* zawakowały dwa mandaty, jeden do parlamentu, drugi do sejmu i tak staje przed ogółem kwestya, kto ma zająć opróżnione krzesła, kwestya ważna nietylko dla wyborców w Środzie, Śremie i Wrześni, a niełatwa do rozstrzygnięcia wobec wielkiego braku kandydatów.

„Dzien. Pozn". — pisze *„Goń. Wiel."*

„pod napisem „żałobny wybór" podał artykuł, w którym stara się wyzyskać, deprymujące wrażenie, jakie wywował nagły zgon zasłużonego posła Głębockiego i radzi „sięgnąć do mężów chętnych, znanych z dawniejszych działalności parlamentarnych albo do świeżych sił dobijających się o ten zaszczyt."

„Kogo ma „Dziennik Pozn." na myśli, pisząc o „chętnych" i „znanych" mężach, wykazuje zaraz poniżej, drukując na pierwszem miejscu tłustemi literami nazwisko p. Stefana Cegielskiego, przydając doń jako decorum cienkiemi literami ks. Mojżykiewicza i ks. Gajowieckiego!

„Do sejmu zaś proponuje pp. Wład. Brodnickiego i Romana Jantę Połczyńskiego, posła do parlamentu, chociaż kilka wierszy wyżej przemawia za tem, aby nie przelewać dwóch mandatów na jednę osobę."

Że kandydatur... ...nikowe mają arcymałe widoki powodzenia zbytecznie dodawać. Niemniej niefortunną jest myśl oddania mandatu do sejmu posłowi Korfantemu, który z natury rzeczy wskazany na Górny Ślązk powinien ograniczyć się na tem, zresztą szerokiem polu działalności. Nie znając warunków lokalnych w Księstwie nie jest też powołanym na przedstawiciela okręgu wielkopolskiego.

Z powodu przyjęcia *posła Kulerskiego* do Koła polskiego oba poważne dzienniki poznańskie załamują ręce. Zwłaszcza *„Dziennik"* oburzony na secesyą ciska gromy na Koło, bo

„kreteryum stanowić tu może tylko poczucie solidarności a nie ten lub ów paragraf. (!) Kto pogwałcił narodową solidarność, nie powinien mieć pretensyi należenia do reprezentantów narodowych, a w każdym razie błąd swój powinien dostatecznie naprawić. (?).

„Dziennik" zapomina kto w pierwszym rzędzie pogwałcił narodową solidarność i spowodował secesyą a błędu swego nie naprawił.

Według *„Dziennika."*

„Zacietrzewienie (!) jest tak wielkie, że dziś chorobliwe (?) położenie spraw naszych może tylko uzdrowić sam p. Kulerski, *przez złożenie mandatu.* Czy się do tego poczuje! Wątpimy!!"

I my wątpimy.

Byłby to obraz niespodziany i oryginalny! Lubo przyjęty do Koła polskiego pan Kulerski czuje się tak wzruszony reprymendą „Dziennika," że zrzeka się mandatu i idzie do Kanosy t. j. do zachowawców, ugrupowanych przy tronie „Dziennika!" Tableau!

Uchodziło dotąd — jak podnosi *„Orędownik"* — za zaszczytną i doniosłą rzecz, iż jeden z posłów polskich, a mianowicie p. szamb. Cegielski był sekretarzem parlamentu.

„I stało się, że teraz nowy parlament znowu wybrał Polaka na sekretarza i jakby na urągowisko dla ugodowców, hr. Macieja Mielżyńskiego, wybranego przez ludowców.

„Od razu rozwianą została cała legenda — o polskim sekretarzu" w parlamencie.

„„Kuryer" — nie wiemy, czy się na tem zmiarkował, czy nie, pisze — że Koło starało się o urząd sekretarza dla hr. Mielżyńskiego."

„A to nieprawda. Koło się nie starało. Kołu zaproponowano, czy nie pozwoli wybrać z pomiędzy swych członków sekretarza i Koło z formalnych względów zgodziło się."

Nie łatwo było o sekreta... ...; jak pisze dobrze poinformowana *„Gaz. Toruńska."*

„W sprawie sekretarzy parlamentu nie mogła w Kole zapaść decyzya, gdyż wszyscy posłowie wymawiali się od tego zaszczytu. Dopiero w pełnej izbie, bezpośrednio przed głosowaniem zdołano hr. Macieja Mielżyńskiego nakłonić do przyjęcia urzędu sekretarza."

Trafną charakterystykę *kierunku ludowego* w naszej polityce podaje *„Gazeta Polska"* z okazyi śmierci ś. p. posła Głębockiego, tak pisząc:

„Prądem, do którego należy przyszłość jest „ludowy", stanowczo demokratyczny i opozycyjny, szukający oparcia dla polityki w najszerszych warstwach uświadomionego ludu, a celów wyłącznie w najżywotniejszych interesach własnego społeczeństwa, bez względu na chwilowe niepowodzenia, trudności i niebezpieczeństwa. W działalności parlamentarnej i sejmowej prąd ten uwydatnia się zupełną zmianą taktyki. Przedstawiciele jego, z których Głębocki był pierwszym i najwybitniejszym, nie wierzą w skuteczność jakiejkolwiek dyplomacyi, a równocześnie zarzucili i tradycyjną formę dyplomatyczną, słodkiej uprzejmości i pozornej uniżoności wobec przeciwników. Po-

wołują się prosto, otwarcie i w formie jaknajwięcej stanowczej na prawa przyrodzone i konstytucyjne swojego społeczeństwa, domagają się energicznie ich uwzględnienia, wykrywają bezwzględnie nadużycia, popełniane przez władze pruskie i prywatnych nieprzyjaciół ludności polskiej. W silnem przekonaniu, że wielkie łudzenie się nadzieją ustępstw ze strony rządu pruskiego byłoby błędem politycznym, i że wszelkie kosztowne ustępstwa Polaków dla stronnictw niemieckich byłyby bezowocne, ufają oni we własną żywotną siłę własnego społeczeństwa, dążą przedewszystkiem do tego, aby siłę tę zorganizować, powołać cały lud do zgodnej, wytężonej pracy nad obroną własnych interesów. To też mowy, wygłaszane przez nich w ciałach prawodawczych, są przeznaczone zarówno dla ministrów i stronnictw niemieckich jak i dla własnego społeczeństwa, mają zarówno charakter obrończy jak i agitacyjny.

Z dość zwykłą sobie beztaktownością gdy chodzi o Polaków, prasa niemiecka porusza sprawę kto obejmie po *Najprz. ks. arcybiskupie Stablewskim* ster rządów w archidyecezyi gnieźnieńsko - poznańskiej. A dobrze poinformowani wymieniają ks. Tetzlaffa, dalej przeora pewnego klasztoru OO. Benedyktynów oraz — *jednego z prałatów polskich.* Obecnie z powodu choroby Arcypasterza berlińska *„Neue Politische Korespondenz,“* posiadająca podobno informacye z sfer rządowych, zajmuje się znowu tą sprawą i zapewnia, że

„następcą nie zostanie „żaden członek kapituły poznańskiej“, że wogóle nie ma mowy, żeby mógł nim zostać *„którykolwiek prałat polski!“*

*„Dzien. Berl.“* zwracając uwagę na ten artykuł, zauważa, że:

„Nominacya Niemca, i to Niemca po myśli antykatolickiego rządu pruskiego, na następcę dzierżyciela starożytnej stolicy św. Wojciecha w Gnieźnie, byłaby ciosem dla katolicyzmu jako takiego w tej archidyecezyi i w całej Polsce, i dla tego dotąd nie wierzymy, żeby Rzym zdolen był uledz w tej dziedzinie antypolskiej i antykatolickiej presyi protestanckiego rządu pruskiego.

„Koszta tej uległości poniosłyby wtedy na ziemiach polskich najżywotniejsze interesa Kościoła!“

Kunktatorski p. *Napieralski*, redaktor „Katolika,“ wydał w języku niemieckim broszurę p. t. „Katolik a centrum,“ gdzie swym Niemcom katolikom z którymi trudno się mu rozstać, tłomaczy swą chwiejną politykę. Oświadcza, że stanowczem (!?) żądaniem partyi „Katolika“ było zawsze (?) aby lud polski reprezentowali polscy posłowie, będący jednocześnie członkami frakcyi centrum. Ale centrum tych życzeń nie uwzględniało i dlatego młodsza generacya wywiesiła sztandar z napisem: Precz z centrum.

„A teraz cóż się więc stanie? — pyta pan Napieralski w końcu swojej broszury. — Czyż rzeczywiście pomiędzy centrum a ludnością polską ma zawrzeć walka, która obu stronom ogromne tylko szkody wyrządzić może? Czyż dawni sojusznicy mają pracować na korzyść trzecich, wrogich im żywiołów? Czyż niema innej już drogi wyjścia? „Jest“ — odpowiada; potrzeba tylko rozsądku i sprawiedliwości w ocenianiu stosunków. Partja katolicka powinna rządzić się zasadami katolickiego Kościoła i pozbyć się wszystkiego, coby jej ten charakter odejmowało, powinna być sprawiedliwą dla słusznych żądań katolików Polaków, powinna się pozbyć hakatystycznych dążności, a zgoda byłaby możliwa.“

Pan Napieralski przeto nie może pogodzić się z myślą o polityce samodzielnej. Mimo najsmutniejszych doświadczeń, dyplomatyzuje, wzdycha do zgody, a nie ma odwagi powiedzieć: „Ślązacy o własnej sile bronić będą spraw swych narodowych!“

*Redakcya.*

## Głosy od Przyjaciół.

*Bytom, Górny Śląsk,* dnia 1 grudnia.

W sprawie Centralnego komitetu Wyborczego pozwolę sobie w imieniu wielu Górnoślązaków, zabrać głos.

Cieszy nas nadzwyczajnie, że raz Bóg pozwolił nam doczekać tego, że nareszcie założenie Centralnego komitetu Wyborczego na całe państwo niemieckie jest w toku. Jest to tak potrzebnem i chwalebnem jak nic innego. Ponieważ nas Górnoślązaków sprawa ta żywo obchodzi, uważamy za potrzebne uwagę zwrócić Centralnemu komitetowi na kilka rzeczy.

Pierwsze, że Gór. Śląsk nigdy nie myśli i nie będzie wybierał posłów do *centrum*, choćby byli przez sam centrowy komitet postawieni. Powodów mamy wiele. Opisywać jak panowie centrowcy są wdzięczni Polakom jest zbytecznem, bo to rzeczy wiadome. Dlatego musi się Szanowny Centralny komitet nad tem dobrze zastanowić jakich nam tu posłów proponować — nie centrowców, i nie podszytych tchórzem — ale tylko z czystej krwi i kości z ludu polskiego zrodzonych.

Po drugie proszę, aby żadnego choćby najzacniejszego księdza nie obierać do komitetu a tem więcej na *prezesa.* Są co prawda gorliwi, przykładem i zacni kapłani, którzy naszą sprawę popierają i służą jej, ale to tylko działać mogą skrycie, jawnie tego i śmiało uczynić nie mogą. Jesteśmy zupełnie przeciwni kandydaturze ks. *prał. Wawrzyniaka.* Aby korzystny wynik i wolne ręce miał Centralny komitet Wyborczy musi być prezesem zupełnie wolny obywatel świecki. Stosownym byłby może na tę godność ten pan, co nie brał udziału w uroczystościach podczas pobytu cesarza w Poznaniu: hr. Żółtowski

Jakie skutki pociąga wybór duchownych obywateli to okazuje się z wieca w Koźminie, gdzie ks. prałat Jażdzewski mówił, że chce naszego posła górnośląskiego p. Korfantego wpierw egzaminować i jakieś trudności mu stawiać, nim zostanie przyjętym do Koła polskiego, a posła p. Kulerskiego wprost odrzuca od Koła. Zapytujemy się ks. prałata Jaż. czy on decyduje całą Polską w zaborze pruskiem. Zdaje się, że nie, jeszcze ks. pr. J. tak wielkiego stanowiska nie posiada i mieć go nigdy nie będzie. My Polacy w zaborze pruskim stanowimy jedną całość, czy Ślązacy, Poznaniacy czy Polacy z Prus Zachodnich lub wschodnich wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki cierpiącej i mamy też wszyscy jedno prawo należenia do Koła polskiego. W tej sprawie nie decyduje jedna osoba, ale całe Koło polskie w imieniu całego ludu polskiego.

Słowa wypowiedziane przez ks. prałata na wiecu w Koźminie nie ustraszą nas, ale tem więcej zagrzeją nas do wytrwalszej pracy. A baczyć będziemy kogo mamy wybierać i prosimy na drugi raz trochę być oględniejszym przy wyborze posłów, bo ks. prałat J. zakrawa jakoś na centrowca

Jeden za wielu.

**FABRYKA**

**Papierosów i tureckich tytuni**

**„VULKAN“**

**I. F. J. Komendziński w Dreznie**

**zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie w wszystkich główniejszych ... są do nabycia. Podróż... syła, oblicza natomiast ... stawia lepszy towar.**





Ksiądz Kordecki.

*Według portretu zamieszczonego w „Dzwonku Częstochowskim".*

„ALBUM PRACY." „DRUKIEM PRACY."

# DZIAŁ ILLUSTROWANY.

## 300-lecie obrońcy Częstochowy.

Świetną przyszłych zwycięztw jest wróżbą, — pisze *„Wiek“* — że Jasna Góra jedynie za łaską Boga Rodzicy niezdobytą się stała“ — woła wielebny O. Agustyn Kordecki na końcu swojej „Nowej Gigantomachii ze strony kacerzy podjętej przeciw świętemu obrazowi Boga Rodzicy przez św. Łukasza malowanemu a na Jasnej Górze w klasztorze złożonemu“. I ani jednego słowa, w pamiętniku tym, przekazującym potomności dzieje niebywałego oblężenia, o swoich zasługach, poświęceniach i bohaterstwach nie napisał, uważając się widocznie tylko za korne i posłuszne narzędzie w rękach Maryi.

Piąty już rok zalewał rzeczpospolitą ów potop, w którym, zdawało się utonie na zawsze imię polskie. Prysły ostatnie nadzieje z chwilą, gdy załamała się nietylko siła, ale i honor narodu, gdy nietylko Kraków, przez Czarnieckiego poddany, otworzył bramy najezdnikowi szwedzkiemu, ale i sto tysięcy wielkopolskiej szlachty, przez Radziejowskiego uwiedzionej, przeszło do obozu zwycięzcy. W falach krwi i kłębach dymu ginęła cała przeszłość; we łzach Jana Kazimierza rozpłynęły się resztki energii i ufności. Dla ludzi małej wiary nie było znikąd pokrzepienia i otuchy.

Ale biło wtedy kilka serc, czujących mocniej i silniej serc nie pod purpurą i zbroją. ale pod sutanną i habitem, wznoszących się ku stopom krzyża i wizerunkom Bogarodzicy. Opowiada Piotr Zbylitowski, że w orszaku sędziwego kanonika Starowolskiego w chwili, kiedy natchnionem słowem przed pomnikiem Łokietka ukorzył pychę Karola Gustawa, znajdował się świętobliwy przeor częstochowski Paulinów i że właśnie to zajście, którego był świadkiem, zapaliło gorącym płomieniem jego szlachetną duszę.

*Deus Mirabilis* wybrał cichego mnicha na objawienie Swojej cudownej, niezmierzonej potęgi, na przedziwne narzędzie Opatrzności. Na czele 140 rycerzy i 70 zakonników, z krzyżem w ręku, opromieniony nadziemską aureolą natchnienia i ekstazy, stawia czoło dziesięciotysięcznej regularnej armii, nie lęka się dział burzących. uzbrojony mocniejszym nad nie puklerzem wiary i czci dla Tej, w imię Której rycerstwo polskie szło pod Grunwald.

Wystrzeliła też nad mury częstochowskie promienna glorya łaski i natchnienia. Podanie głosi, że ze szwedzkiego obozu widziano Królowę Nieba, jak płaszczem gwiazdami złotemi osypanym otaczała wieżę kościoła, mury małej forteczki i garstkę oblężonych. Zapaliły się od tej glorii niebieskiej nadludzkie moce w piersiach ofiarników wiary.



Cudowny obraz N. M. Panny na Jasnej Górze.

W noc Bożego Narodzenia, w taką cichą i gwiaździstą, jakich tyle przechowują wspomnienia pokoleń, pełną uroczystej zadumy przyrody w oczekiwaniu wielkiego przypomnienia — zamilkły burzące szwedzkie kolubryny, zalew prysnął od niewzruszonej opoki. Jasna Góra była uratowana!! ..

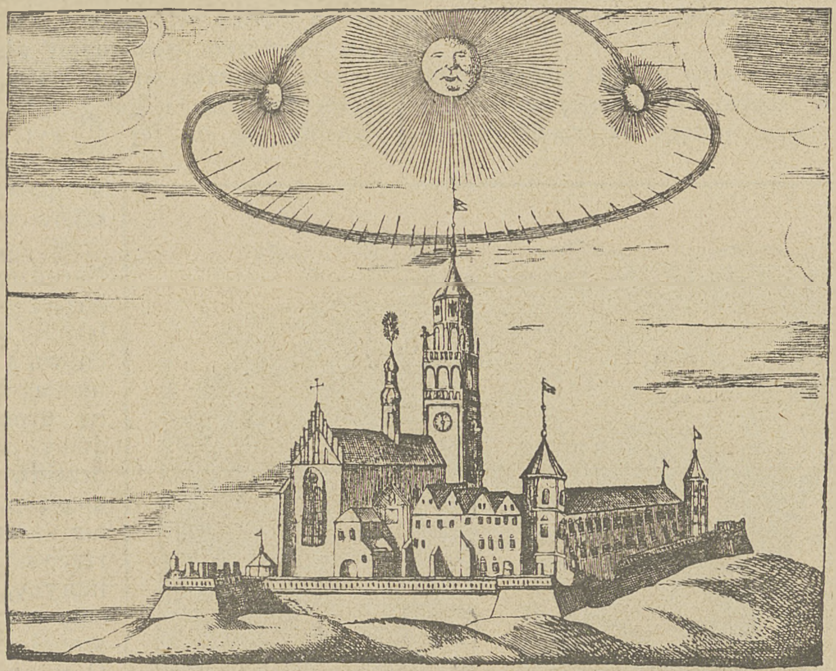
. . . . . . .

Przypomina się dzisiaj ta dziejowa pamiątka, uosobiona w wielkim czynie potężnego człowieka. Czyn ten rozłogami minionych czasów świeci jasną gwiazdą męztwa i wiary. Jakże olbrzymia ta cicha, blada postać starca z krzyżem w drżącej dłoni, co zapaliła ognie na niebie i rozgromiła z woli Bożej przemożne szwedzkie zastępy!

* * *

W archiwach klasztoru Jasnogórskiego rzechowywany jest manuskrypt p. t. *Vita religiosa et finis felix A. R. P. Provincialis Augustini Kordecki*. Pisał go socyusz zakonny nieśmiertelnego obrońcy Jasnej Góry; mnóstwo w nim szczegółów cennych a nieznanych, tyczących się życia i ostatnich chwil Kordeckiego. Rękopism ten wydany został właśnie w „Bibliotece Dzieł Chrześciańskich“ w tekście łacińskim i polskim, poprzedzonym piękną przedmową ks. Leona Jungowskiego i listem najprzewielebniejszego O. Eugeniusza Rejmana. Pozwolimy sobie powtórzyć z niego główne ustępy w dniu pamiątkowym; zachęcą one niewątpliwie szeroki ogół do nabycia cennego dziełka, oddającego

ten rękopism w oryginalnym jego tłómaczeniu do wiadomości ogółu, a zaopatrzonego w wizerunek Bogarodzicy Jasnogórskiej według kopii Chełmońskiego, oraz w portret Kordeckiego według cennego na krużgankach klasztoru malowidła, z którym zapoznajemy dziś naszych czytelników.



Klasztor N. P. M. Częstochowskiej według [illegible]b. dawnego sztychu.

Ważniejsze ustępy z rękopismu „O życiu religijnem i szczęśliwym końcu Przew. O. Prowincyała Augustyna Kordeckiego“ brzmią jak następuje:

Pochodził ze wsi Iwanowice w Województwie Kaliskiem. Mając około 30 lat wieku, resztę życia swego poświęcił Bogu.

Za rządów Przewielebnego O. Bar- [illegible] [illegible]łesty obleczony habitem zakonnym w roku 1634 dnia 25 marca. W pierwszym zaraz roku swego nowicyatu, tak wielkich cnót zakonnych dokazał z[illegible] jakby był zrodzony do wsz[illegible]obra, aby działać mężnie, cierpieć przeciwności, jak tego życie zakonne wymaga, co się w następstwie okaże.

Po odbytym roku nowicyatu, złożył profesye w ręce wyżej wspomnianego O. Prowincyała. Wkrótce potem stopniowo otrzymał święcenie na Dyakona. Posiadał bowiem już naukę odpowiednią, gdyż studya filozoficzne i teologiczne, będąc jeszcze świeckim odbył. Lata też miał po temu, również jak cnotę i dobre obyczaje, wskutek czego zdawał się być zdolnym do objęcia urzędów w świętem zgromadzeniu. Posłany do Wielunia sprawował urząd Wiceprzeora, tam również wykładał zasady retoryki niektórym braciom.

W tymże klasztorze wkrótce został wyświęcony na kapłana, poczem mianowany rzeczywistym Przełożonym, godnie spełniwszy swój urząd, wezwany został do klasztoru Jasnogórskiego, aby ćwiczyć braci w karności zakonnej, i w tym celu Wicedyrektorem życia duchownego mianowany.

Po tych mniej znacznych godnościach, otwierała mu się droga łatwiejsza do wyższych. Podczas następnej kapituły prowincyonalnej powołany na przeora w Wielgomłynach, gdzie doskonale spełniał swoje obowiązki i wiele zasług położył, jako reformator karności zakonnej i administrator. Wezwany na przeora Jasnej Góry, na stanowisku tem rok jeden przyszło mu przebywać. Poczem spełniał obowiązki Przeora w Rzeszowie i Oporowie.

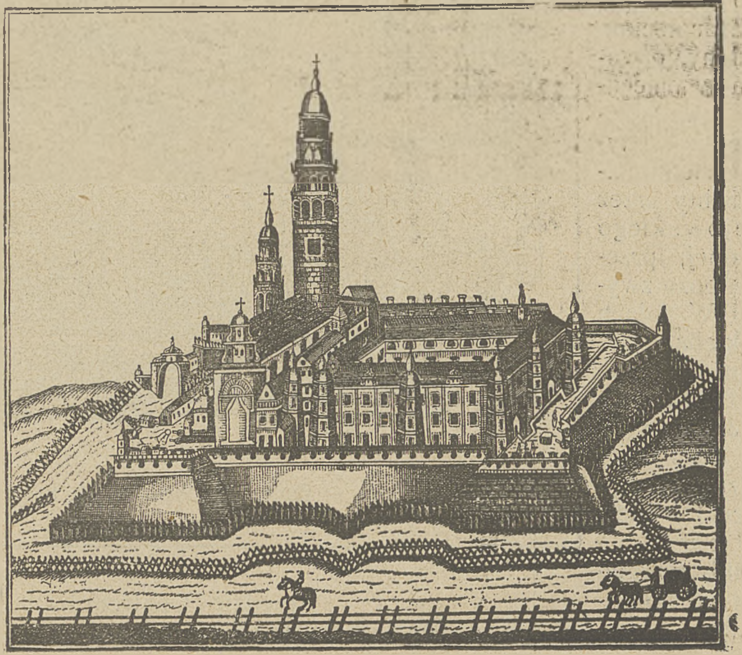
Na kapitule wyborczej, prowincyonalnej, za Ojca Zaremby Prowincyała, przeznaczony na przeora w Pinczowie. W klasztorze tym wiele zdziałał dobrego, postawił budynki, ozdobił kościół, a co najważniejsza, przykładem swym wpłynął na przywrócenie karności zakonnej i zachowanie przepisów, co najwięcej leżało na sercu Kordeckiemu przez całe jego życie.

Podczas drugiego wyboru tegoż samego Ojca Zaremby na Prowincyała, O. Augustyn mianowany, za zgodą starszych w kapitule, przeorem Jasnogórskim. W klasztorze tym już stanowczo osiadł i ciągle przebywał od roku 1650 do marca 1673 roku, w którym to dniu przeniósł się do wieczności.

W roku 1655, podczas gdy ś. p. Kordecki znowu spełniał urząd przeora, potwierdzony na nim powtórnie, wskutek dobrych rządów i administracyi, Szwed wtargnął do naszego Królestwa. Nic mu nie zagradzało drogi, a wszystko stało otworem i kłoniło głowę. Sama nawet stolica Kraków, łatwo i prawie bez żadnego oporu mu się poddała. A co najgorzej... nie wstydziło się wojsko z hetmanami swymi obrać swym protektorem chytrego króla Szwecyi, nieprzyjaciela Kościoła Chrystusowego, burzyciela ojczyzny, bezbożnego najezdcę R[illegible]ospolitej i to dobrowolnie i bez żadnej konieczności.

Czegóż więcej mógł sobie życzyć wszech potężny i przebiegły nieprz[illegible]ciel... wszystko wiodło mu się p[illegible]myślnie. Król ze swego państwa m[illegible]siał uciekać, bez żadnej nadziei po[illegible]ocy, i tułać się po Szlązku i Węgrzech, [illegible]gdyby Szwed, igraszka losów, nie nad[illegible]ył swego powodzenia i łaski fortuny, łatwoby złe swoje zamiary doprowadził do bezbożnego celu [illegible] zawładną[illegible] [illegible]ólestwem z ogrom[illegible] hańbą nietylko Polski, ale też ze stratą i szkodą całego świata katolickiego.

Wszystkie prawie fortece poddały się i wydane zostały na łup bezecnego i nienasyconego nieprzyjaciel[illegible] któr[illegible]



Widok klasztoru Jasnogórskiego według starego sztychu.

**grabił wszystko**, dopóki świętokradzkiej swej ręki nie wyciągnął na Jasną Górę Częstochowską.

Zdawało się, że nie przystoi samemu królowi wyruszać na zdobycie gniazda kurzego (tak nazywali Szwedzi klasztor Jasnogórski), posłał więc najpierwszych wodzów swoich, z większą częścią wojska i największemi maszynami wojennemi, aby zmusić zakonników, jeżeliby opór stawiali, do przyjęcia załogi szwedzkiej i do wydania wrogom skarbu Kościoła i innych kosztowności, złożonych tam przez magnatów tu miejsce opisywać i nie mojem jest to zadaniem. Wiadomem to się stało nietylko całemu królestwu ale i całemu światu wskutek wiernego opisu walki olbrzymiej, przez ś. p. autora wydanego drukiem.

Nie należy zamilczeć ile uznania i pochwał otrzymał Kordecki od najwybitniejszych osobistości i nawet królów za swoje heroiczne i bohaterskie czyny i odwagę. Owszem powiem więcej i szczerze wyznaję, że kiedy doręczyłem osobiście historyę oblężenia Jasnej Góry od Szwedów Ojcu Św. cnót, ile uczynków heroicznych ducha nietylko zakonnego, ale szlachetnego i mężkiego, zdolnego do rzeczy najwyższych i jakby do nich zrodzonego. Trudnoby w całem tem dziele znaleść ustęp, w którymby nie było wzmianki o Kordeckim.

Wielu bohaterów i rycerzy nawiedzało Jasną Górę nie tylko z pobożności, ale dla widzenia Kordeckiego jako ozdoby zakonu i rozmowy z nim.

Wszystko to, co w krótkości wzmiankowane, lecz i wiele innych czynów świętobliwych i cnót okazuje,




Obrona Częstochowy, według współczesnego sztychu.

polskich. Starali się łupiezcy świętokradzcy wszelkimi podstępami zburzyć ten ogród dziewiczy, i jako dziki okrutne pożreć jego owoce... ale żadna sztuka, żaden sposób, ani przebiegłość i siła ani potęga maszyn wojennych nie mogła skruszyć jego murów. Dziewica bez skazy nie pozwoliła wtargnąć do swego umiłowanego ogrodu i zburzyć go, postawiła bowiem przedtem na straży Augustyna Kordeckiego, przezornego i dzielnego stróża. Ile ten wierny strażnik poniósł pracy, starań, kłopotów, aby czuwać nad tym ogródkiem Maryi przez 7 tygodni oblężenia, nie Aleksandrowi VII, tenże Ojciec Św. przyjmując ją sercem wdzięcznem, wyraził się między innemi: „Chwalmy Boga, iż wielkie rzeczy uczynił Wam. Jesteście prawdziwie szlachtą polską, która stawała mężnie za Kościół, i była wierną ojczyźnie, kiedy nie pozwoliła deptać świętego miejsca stopą heretycką.“

Historya JW. Wojewody Pomorskiego N. N. Kobierzyckiego, wydana stylem potoczystym i ofiarowana w skutek ślubu N. Maryi Pannie Częstochowskiej ileż przyznaje choremu naszemu Kordeckiemu chwały, ileż że Kordecki był prawdziwym zakonnikiem, posiadał bowiem następujące przymioty: miłość dobra wspólnego i przyczynianie się do niego, zachowanie ścisłe reguły i statutów S. Zakonu i t. p. Kordecki pierwszy przychodził na Jutrznią. Na innych też pacierzach bywał zawsze obecnym, ilekroć nie miał jakiej ważnej przeszkody. Gdy wyjeżdżał z klasztoru, przyświecał wszystkim najlepszym przykładem. Soboty czcił w szczególniejszy sposób: odmawiał sam w dnie te pacierze wotywne, szczególniej o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi Panny. Opętanym,

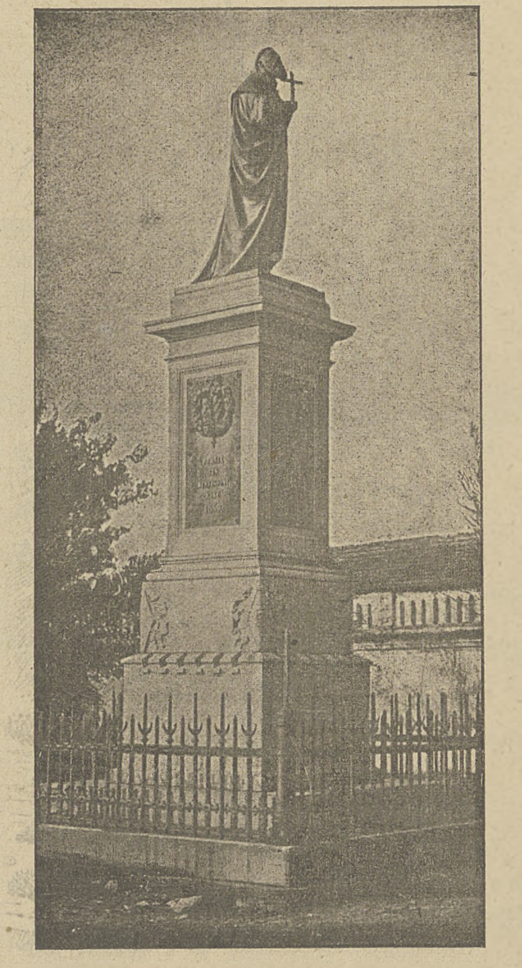
oczarowanym i cierpiącym na rozmaite choroby szczęśliwie pomagał, i za łaską Bożą wielu pocieszył i do zdrowia powrócił. Jednem słowem, był to mąż Apostolski, którego słuchały i były mu podległe nawet duchy ciemności.

Rządność jego i ekonomiczna działalność godna podziwienia i pod oczy podpada; Klasztor Jasnogórski stał się warownią i to warownią słynną. Staraniem, pracą i działalnością Kordeckiego stanęły, wzrosły i wykonane zostały fosy, mury, baszty. Jego też zasługom przypisać należy fundacyę Kłobuską. Któż to bowiem pierwszy ze spustoszenia ją podźwignął, kto zebrał przez nieprzyjaciół rozproszonych mieszkańców, kto wspomógł zebranych zbożem do siewu, inwentarzem i innemi potrzebnemi utensyliami. Czyliż nie Kordecki? Kto moczary nieuprawne, stawy opuszczone uporządkował, groblami trwałemi obwałował, a młyny zbudował? Kordecki.

Przyszłe pokolenie opowie, jak wiele przyczynił się on do postępu dobra publicznego, którem się obecnie cieszymy. Niech nikt jednak nie mniema, aby tak zajęty Kordecki kiedykolwiek odstąpił od pełnienia służby Bożej; owszem oddychał on zawsze uczuciami pobożności, napełniającemi czysty umysł jego. Te i inne niezliczone czyny pobieżne wzmiankowane nie wypełniają całkowitego jego, jako przeora klasztoru, żywota. Piastował również urzędy Definitora i Wikaryusza. Jako taki, a zarazem mąż, odznaczający się rozumem, doświadczeniem i duchem zakonnym, wyruszał często do Węgier na kapituły generalne, wyborcze i pośrednie, w interesach swojej prowincyi, przedstawiając jej potrzeby i załatwiając wszystko pomyślnie.

Po ustaniu najazdu Szwedzkiego, dzielny i bogobojny Ojciec otrzymywał oznaki wielkiej wdzięczności od współobywateli, tak świeckich jak i duchownych. Król mu darował wieczny przeorat (do czego czuł się w prawie, rozrządzając w Polsce opactwami,) a nawet miejsce w Senacie. Biskupi prawie wszyscy nie byli przeciwni temu, aby go mieć między sobą i przyoblec w godność Biskupią, sądząc, że mąż takich zasług uświetni swoją obecnością ich zgromadzenie. Lecz Kordecki wielki miłośnik spokoju zakonnego i życia ukrytego zdala od świata, jak przystoi prawdziwemu zakonnikowi, zrzekł się chętnie wieczystego zarządu prowincyą, jako przeciwnego wyborom i statutom Św. Zakonu, zachowując takowe co do joty i usilnie starając się, aby przez innych były zachowane. O Biskupstwie nigdy nie myślał, będąc zupełnie zadowolonym ze swojej celi i powołania; mówił, że niegodnym jest tego urzędu.

Pomimo tego, skromnego i ukrywającego się Kordeckiego nie ominęły godności zakonne. Po skończeniu swego Przeoratu, z którego to urzędu tak chlubnie się wywiązał, wciąż prawie, jak się to już wzmiankowało, piastował urzędy Definitora i wikaryusza z przerwą jedynie w tym czasie, kiedy był Przeorem lub Prowincyałem. Trzykrotnie, za zgodą braci i z poklaskiem osób świeckich był wybierany na Prowincyała. Bogu tylko i Św. Zakonowi wiadomo, ile z utratą zdrowia ponosił trudów i starań, aby sprowadzić postępy w życiu zakonnem. Czuwał też z wielką gorliwością, aby w klasztorze nie było niesnasek i rozdwojeń, starając się im zapobiegać i takowe uśmierzać, łącząc niezbędną surowość z łagodnością.



Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie.

Był wielce wyrozumiałym na słabość, gorącość, oziębłość i apatyę braci. Tem niemniej nie brakowało mu zawiści u niektórych niezadowolonych i zarzutów ze strony nieżyczliwych, jakoby okazywał się popędliwym, nie hamującym się w gniewie, w chwilach, gdy był zmuszony karać lub oddziaływać na innych. Wyznać jednak trzeba, że gdyby Kordecki nie hamował zuchwałości, nie zdołałby utrzymać podwładnych w rygorze karności zakonnej, i może zachwiałyby się jego dobroczynne rządy, ze szkodą ogólną S. Zakonu. Chociaż bowiem, jak się zdawało, surowiej działał, czynił to dla Chwały Bożej i pożytku zgromadzenia, co w oczach zawistnych wydawało się szorstkiem i nieodpowiedniem.

Tymczasem nadszedł rok Pański 1671, w którym odbyła się kapituła wyborcza i prowincyonalna. Po przeoracie na Jasnej Górze, trzeci raz wybrany został Przeorem Prowincyałem ś. p. ks. Augustyn Kordecki, d. 7 kwietnia. Na kapitule tej prezydował sam przewielebny O. Generał. Wszystkie uroczystości, należące do tego aktu, były zachowane, a między niemi oznajmiono, że jeżeliby który z braci miał jaką wątpliwość co do nowego wyboru (jak tego wymagały statuty Zgromadzenia), niechaj wystąpi . Nie znalazł się ani jeden, wszyscy uznali wybory za prawne i kanoniczne. Tak więc załatwiwszy wszystkie sprawy, nowowybrani po zamknięciu kapituły udali się każdy do swojego urzędu i przez lat dwa spełniali swoje obowiązki bez żadnej przeszkody.

W roku Pańskim 1673, po uroczystości S. Patryarchy naszego Pawła Pustelnika (Zgromadzenie Paulinów obchodzi ją dnia 10-go stycznia), odnowiwszy roczne śluby zakonne ś. p. Kordecki, najgorliwszy i najpracowitszy działacz, 11 stycznia, spełniając swą czynność, wyruszył do Warszawy. Ileż wraz z swymi towarzyszami w czasie tak niedogodnym poniósł niewygód, zimna i niewywczasów, policzono mu to w niebie.

Po przyjeździe do Warszawy wskutek choroby przez 4-ry przeszło tygodnie musiał tam przebywać. 17 lutego za pomocą Bożą wyruszyliśmy z Warszawy dla zwizytowania niektórych klasztorów i zwizytowawszy je, przybyliśmy do Wieruszewa. Dnia 15 marca śp. O. Kordecki zapadł w śmiertelną chorobę. Zawezwany zaraz O. Aleksander aptekarz i sprowadzony z Kalisza doktór użyli wszelkich środków i starań dla jego uleczenia. Lecz choroba coraz więcej się wzmagała. Doktór, straciwszy nadzieję, zawyrokował, że choroba jest ciężka, zwłaszcza w starcu, mającym przeszło lat 70, gdyż do kataru zadawnionego przyłączyła się gorączka i kaszel, których się nabawił skutkiem niewygód w podróży. Lekarz przydał, że potrzeba, aby chory przygotował się do rychłego zgonu i rozporządził swem mieniem, gdyż nie pozostaje już żadnej nadziei wyleczenia. Pytał zacny chory, jaką odchodząc, wydał o nim doktór opinię. Odpowiedział mu na to Ojciec Sekretarz prowincyi, że mała albo już żadna nie pozostaje nadzieja, że doktór wspomniał o testamencie, obiecując dla wszelkiej pewności przysłać z Kalisza O. Aptekarza.

Dowiedziawszy się o takiej dyspozycyi lekarza, chory bynajmniej nie przygnębiony powiedział: „Jakiż ma być mój testament? Jestem zakonnikiem, całego siebie winienem S. Zakonowi, dążę do celu, do któregom stworzony i Bogu najlepszemu gorliwie się polecam.“ Całą noc poprzedzającą zgon jego przygotowywał się dobry Ojciec do Sakramentu Ostatniego Namaszczenia, którego już przedtem, widząc jego osłabienie, chciał mu udzielić O. Wikary. Lecz dobry chory, będąc przytomnym do ostatniej chwili, odwiódł go od tego zamiaru, mówiąc: „Ja wam powiem, kiedy zajdzie potrzeba udzielenia mi tego Sakramentu.“

Dnia 20 marca S. Joachima (pragnął doczekać się S. Józefa, którego uważał za szczególnego swego Patrona, co też otrzymał, S. Józef przypada bowiem na dzień 19 marca) obudził się bardzo rano, kazał przynieść sobie białe szaty zakonne, sam przyodział się w habit, przepasał biodra, mówiąc: „Już mnie tak ubranego nie będziecie niepokoić.“ Prosił Ojca Aleksandra, aby czystym ręcznikiem obtarł mu członki, mające być namaszczone. W przeddzień śmierci z największą pobożnością i żalem, na jaki się mógł zdobyć, przyjął Komunię S-tą, jaką się często w chorobie zasilał. Zwykł był w całym ciągu kapłaństwa codziennie ofiarowywać Stwórcy na świętym ołtarzu Baranka bez zmazy, jeżeli choroba lub inny ważny powód nie stały mu na przeszkodzie.

O godzinie 9-ej rzekł: „Teraz już czas.... nie zwlekajcie udzielić mi Namaszczenia.“ Ojciec Wikary, spełniwszy wszystko, co do tego było potrzebnem, upomniał umierającego, aby wzbudził w sobie akty wiary, nadziei i miłości Boga i bliźnich, które z największą gorliwością, na jaką się tylko mógł zdobyć, odmówił, prosząc i zaklinając O. Wikarego, aby w jego imieniu nie zaniedbał przeprosić i błagać o przebaczenie wszystkich Ojców i braci prowincyi. Zauważywszy pomiędzy bracią jednego, który raz tylko lub przynajmniej bardzo rzadko nawiedzał go w chorobie, przywołał go do siebie, prosząc go o przebaczenie, jeżeliby mu kiedy jaką przykrość wyrządził. Tymczasem O. Wikaryusz przyniósł Oleje S-te. Na każdą modlitwę przy namaszczeniu sam odpowiadał: Amen...

Co godzina i minuta coraz więcej wzmagała się choroba. Bogobojny Ojciec w skupieniu ducha myślą i ustami, o ile mógł modlił się do Boga. Bracia obecni odmawiali psalmy pokutne Dawida, co i sam chory czynił, mówiąc: „Spieszcie się, już jest czas“ etc... Skończywszy modlitwę, zażył trochę wypoczynku. Bracia odeszli, aby przyjąć posiłek, minęła bowiem pora obiadowa. Zaledwie usiedli do stołu, przysłał bogobojny chory prosić, aby Ojciec towarzysz prac jego nie opuszczał go przy zbliżającej się śmierci. Ten przybył zaraz i pozostał do ostatniej chwili. To samo uczyniło wielu innych braci. Wiele zbawiennych praktyk podsuwano mu w owej ostatniej godzinie, jak np. częste wspominanie imion Jezus i Marya. On sam często całował krzyż, ze łzami zanosił do Boga różne akty strzeliste, wyjęte z psalmów, odpędzając od siebie larwy piekielne w tych słowach: „Uciekajcie nieprzyjaciele! Zwyciężył lew z pokolenia Judy. Niech powstanie Bóg... niegodziwi....“ Sam też ręką swą uczynił krzyże i jakby rycerz powstawał przeciw swym wrogom... zawstydzał ich słowami zbożnemi, nie obawiając się niczego, umocniony od Tego, któremu wiernie służył. Zdawało się też, jakoby odpoczywał po walce i odniesionem zwycięztwie. Tymczasem ustawały siły żywotne... już z głębi tylko serca wychodziły westchnienia. Trzymając w ręku zapaloną gromnicę, zaczął gasnąć. Kiedy bracia obecni, polecając duszę konającego Bogu, doszli do słów „przyjmując duszę jego“ etc. spokojnie ducha wyzionął, otoczony wieńcem zasmuconych braci. Pospieszył po koronę niebieską, która nigdy nie zwiędnie, Ojciec pełen lat i cnót, około godziny 4-ej po południu w klasztorze Wieruszowskim.

Dnia następnego 21 marca po nabożeństwie żałobnem i procesyi solennej, na które to obrzędy przybyło z bractwami nawet ze stron odległych miasto i okolica, został przewieziony na Jasną Górę. Żałobnemu pochodowi towarzyszyli Ojciec Wikary i Ojciec towarzysz Aleksander; przybyli na miejsce 23 marca, a następnego dnia złożyli zwłoki solennie do grobu Ojców Zakonu, gdzie odpoczywa, oczekując szczęśliwego zmartwychwstania i chwały przyszłego wiecznego żywota.

Ojciec Augustyn Kordecki jest mężem godnym wiecznej pamięci. Zdaje się, że żył za długo wedle praw natury i liczby uczynków i dzieł heroicznych, z których wynika chwała dla Zakonu i zasługa wobec Boga, jednak zbyt krótko dla rodziny Paulińskiej i S. Zakonu.

Zaiste Ty, Polsko, jakżebyś pragnęła, abyś mogła liczyć jeszcze wiele lat jego żywota, który jeżeli kiedykolwiek, to teraz w tych czasach burzliwych tak zewnątrz jak i wewnątrz, byłby pożyteczny. Trzeba wiedzieć, że wszyscy znali cnotę Kordeckiego i jego powagę. Wszędzie miała szacunek i cześć należną jego siwizna. Któż pojednał z Tobą Króla i wielu dworzan rozgoryczonych aż do niesprawiedliwego oskarżenia? Kto uśmierzył wichrzycieli szkodliwych Rzeczypospolitej? Kto uspokoił krzyki szlachty przeciw Tobie na Sejmach? Kordecki przejednał, uspokoił, uśmierzył. Wszyscy za jego życia byli Tobie



Pomnik ks. Kordeckiego, wzniesiony w kościele św. Krzyża w Łodzi, ku uczczeniu 300-ej rocznicy urodzin.

oddani, okazywali opiekę i życzliwość. Zobaczymy po śmierci, czy tak samo czynić będą. Łatwo można się przekonać, że nie ceni się dobra, dopóki się go nie utraci. Czuwaj więc, abyś mogła mieć i żywić jeżeli nie Kordeckich, to przynajmniej mężów Świętej religii oddanych, miłośników karności zakonnej, zachowującej jaknajdokładniej statuty i postanowienia zakonne, a co najważniejsza nie znużonych czcicieli miłości i jedności braterskiej. W te i w inne potrzeby niechaj Cię zaopatrzy z Niebieskiej Ojczyzny najbardziej Ci oddany Klemens Augustyn Kordecki, za którego duszę módl się, aby największe błogosławione odpocznienie otrzymała.

Zwłoki Augustyna Kordeckiego zawarte zostały w jednej urnie z popiołami O. Grzegorza Terelli, zmarłego w dniu 30 maja 1660 r.Umieszczone zostały pod kaplicą S-go Antoniego w ołtarzu N. M. Panny roku Pańskiego 1704.''

## Cudowny obraz N. Panny
### na Jasnej Górze.

Na dzień uczczenia trzechsetletniej rocznicy urodzin O. Augustyna Kordeckiego, OO. Paulini na Jasnej Górze w Częstochowie, jak się o tem Najprzewielebniejszy ich Przeor w liście swoim do dzienników warszawskich wyraża, dali społeczeństwu naszemu to, co kraj najdroższego posiada, to jest kopię najwierniejszą obrazu Boga Rodzicy, który od sześciu wieków pod ich strażą zostaje. Kopię tę wykonał umyślnie w tym celu zaproszony znakomity artysta malarz Chełmoński.

Cudowny obraz Najświętszej Boga Rodzicy, według tradycyi przez św. Łukasza namalowany, koleją czasów i przejść zniszczony, tylko z wielką czcią i starannością może być przechowanym w dalsze pokolenia. OO. Paulini największą troskliwością otaczają to prastare arcydzieło i raz tylko na rok, w dzień Wielkoczwartkowy obraz cudowny wyjmują z ram i uroczyście przenoszą na miejsce do tego przeznaczone, w skarbcu kościelnym znajdujące się, gdzie po stosownem oczyszczeniu, zmieniają sukienkę na obrazie.

W roku bieżącym, z okazyi jubileuszu O. Kordeckiego, cudowny obraz ustawiono w odpowiedniem świetle dla odmalowania wiernej kopii z oryginału. Chełmoński z prawdziwą pobożnością zabrał się do tego dzieła. Pracę swoją, naszkicowaną w pierwszym dniu, długi czas jeszcze wykończał i dał OO. Paulinom wierną podobiznę tego drogocennego zabytku.

Matka Najświętsza Częstochowska jest nietylko Panią, ale i duszą nas wszystkich i dla tego mamy nadzieję, że obraz Jej świętego Oblicza przyniesie naszym czytelnikom słodkie uczucie radości i prawdziwego wesela.

*—ski.*

## Wilja Bożego Narodzenia
### *w Częstochowie*
### 1655-go r.

*(Z poematu p. n. „Kordecki.“)*

Na jasnej górze północ bije z wieży,
Noc to cudowna, kiedy się w nią wierzy
Myślą poetów lub sercem pasterzy.

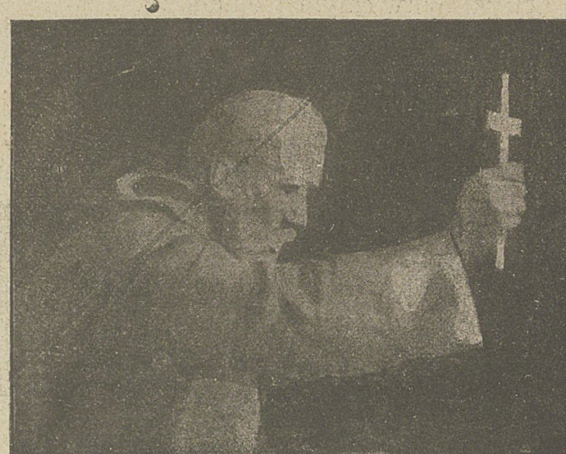
Wszak w samą północ dziś, jak niosą wieści,
Pod zamarzłemi wodami szeleści
Hymn szklanny, srebrny, kolędowej treści?
Kwiaty uśpione w śnieżystej mogile
Dziś o północy budzą się na chwilę,
Wśród nich bujają zdziwione motyle
I w piersiach ludzkich serce ludzkie rośnie.

. . . . . . . . . .

Ale dla smutnych synów Jasnej Góry,
Ta północ biła hukami wichury;
Słońce ich zaszło za śniegowe chmury.
Leśni śpiewacy byli dla nich niemi,
I kwiaty zwiędły pod rosy krwawemi,
I myśl musieli kierować do ziemi.
Najstarsi tylko poszli do kościoła,
By wciąż powtarzać swój hymn, bo kto zdoła
Wołać bez końca, i Boga wywoła.

Młodsi kapłanie, jakby wojownicy,
Czujnie obchodzą gród Bogarodzicy.
Nie mirrę sypią na żar kadzielnicy,
Lecz proch do celnej nasypują broni,
I z kul różańce przesuwają w dłoni;
I nie gromnica w ich ręku się płoni,
Lecz lont sykliwy składają przy działach.
Inni, przygodnie każący na wałach,
Żołnierzy w bozkich podnoszą zapałach.

I nie naprózno padają ich słowa:
Męże, niewiasty, i rota bojowa,



O. Kordecki z rzeźby Teofili Certowiczówny w kościele na Skałce w Krakowie.

I drzewa szronem ubrane srebrzyście,
Nagle się w bujne opinają liście,
I las się Bogu kłania uroczyście.
Dziś woda, w czary nalana, jak w Kanie,
Słodkiemu winu podobną się stanie.
Z obłoków słychać pieszczone śpiewanie,
Z grobów na chwilę wstaje śpiące plemię,
I w samą północ, jak tam w Betleemie,
Sto niewidzialnych słońc oświeca ziemię.
Chór ptasząt zbudzon w tem świetle i wiośnie,
Głosem człowieczym przemawia radośnie,

I czeladź skromna, cała Częstochowa,
Niezłomna duchem jak swoja opoka,
Na wrogów czujnie spogląda z wysoka.
Nikt się dziś przymknąć nie odważy oka,
Bo wśród nich czarna przechadza się xieni,
Śmierć!

— Treścią listów ostatnich strwożeni,
Nieśmieją nawet w tarczę nocnych cieni
Zaufać.....

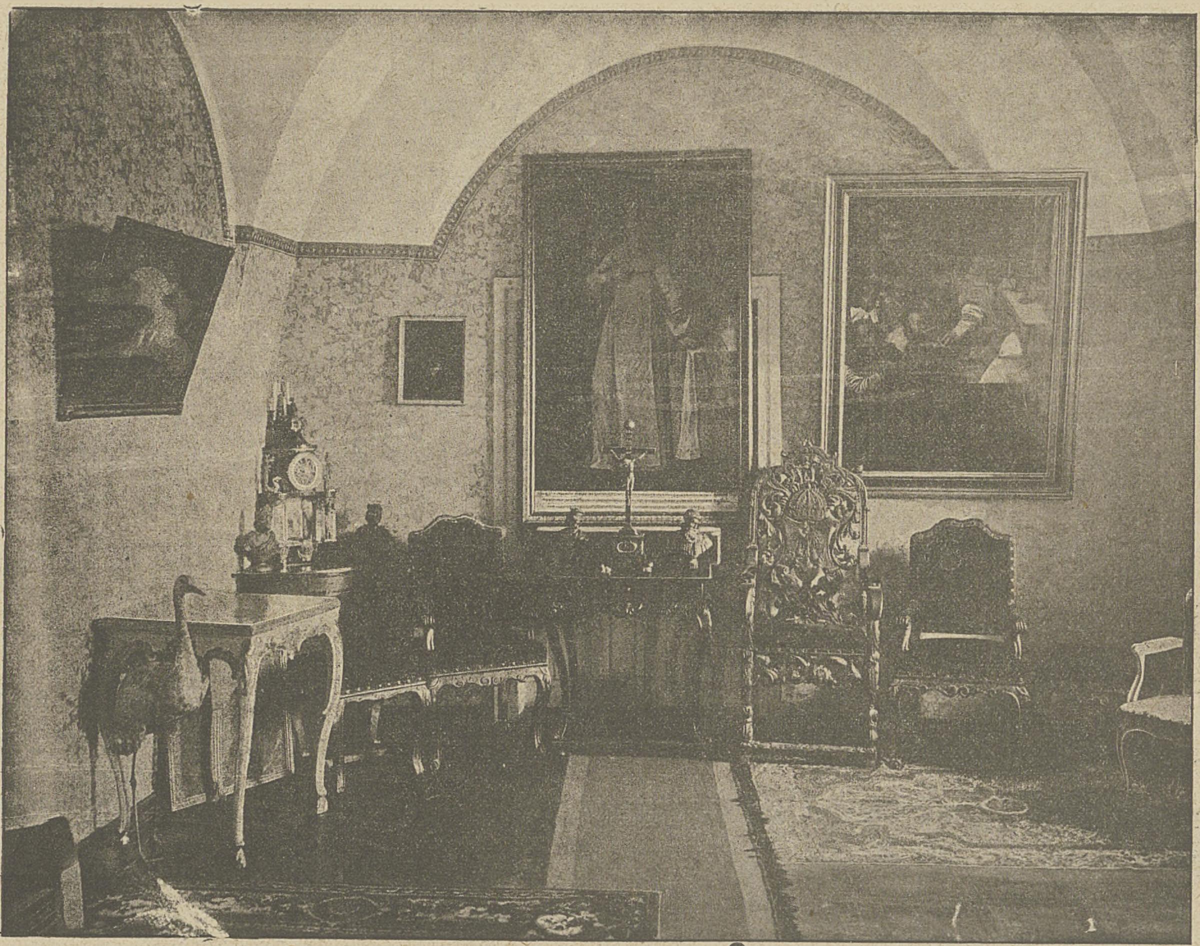
— Wróg też nie pozostał w ciszy.
Brząkanie w czary piosnkom towarzyszy.

Z szańca warowni polski strażnik słyszy,
Jak machinami ładowane wozy,
Skrzypiąc i jęcząc ciągną przez obozy.
Gdy jęk przycichnie, słyszy pełen zgrozy,
Śmiech najezdniczy, z jakim się ponure
Szwedy, na świętą odgrażają górę.
Widzi przez dymów niebieskawą chmurę,
Jak owi konie prowadzą nad zdroje,
Ci oczyszczają zapyloną zbroję,
Tamci do hełmu wpinają piór zwoje.
Widzi przy ogniach ogromnych, na łące,

I że — nie walcząc, zwalczonemi byli.
. . . . . . . . . .
Miller wieczorem czuł się tak znużony,
Jakby świat dźwigał ludzkiemi ramiony.
Więc dawszy rozkaz, namiotne opony
Wcześniej zasunął, i upadł na łoże.
Usnął głęboko, tak, jak tylko może
Spać głaz. Na marzeń stubarwnych bezdroże
Sen go nie wodził, ni dziwaczne mary
Nie zaglądały do jego kotary.
Sen bez snów jego był jako świt, szary.
Nagle się zbudził z duszą potruchlałą.
Co go strwożyło? Sam niewie. Nieśmiało

Jej włosy szemrzą jak zerwane struny..
Pod jej stopami tryskają pioruny. ...
Straszna, wspaniała, rycerka, królowa
Jakby w kobiecej postaci — Jehowa

Jej suknia długa, ciemno granatowa,
Szumi jak szata burzliwego morza.
Kopja w jej ręku lśni jak pomsta boża.
Na jej ramionach, jakby krwawa zorza,
W płomienne zwoje opada zasłona,
Karmazynową jasnością czerwona.
U czoła skrzy się gwiaździsta korona.
Ale te gwiazdy są jakby komety,
A ich promienie są jakby sztylety.
W jej twarzy jała ideał kobiety,
Lecz w tej piękności jest jakaś potęga.



Pokój obecnego przeora O. Paulina, ks. Rejmana w klasztorze Jasnogórskim. — W głębi portret ks. Kordeckiego.

Zwieszone kotły, postacie tyczące,
Na tle czerwonem dziwnie się czerniące.
I Szwedom dzisiaj, senliwa powieka
Zamknąć się nie nie śmie. Całe wojsko czeka
Na chwilę hasła, co tak niedaleka
Zdała się wczoraj, a dziś tak leniwa!
Z pomrukiem pyta rzesza niecierpliwa,
Czemu godzina za godziną spływa,
A Miller, zwykle czujniejszy niż straże,
Teraz w obtulnej zamknięty kotarze,
Naprożno czuwać swoim wojskom każe?

O! nie wiedzieli, że w tej strasznej chwili,
Stał się wypadek co wojnę przesili,

Wzniósł głowę — słucha..... Jemu się wydało,
Że głos nieznany zawołał: „Millerze!“
On, co nie zadrży, gdy biją moździerze,
Gdy płoną bomby, gdy walą się wieże
Zadrżał.... Spogląda to w tę, to w tę stronę.....
Ku wejściu zwrócił wejrzenie zdumione,
I ujrzał..... rękę..... rękę, co zasłonę
W głębi namiotu zwolna odsuwała.
Ręka ta, biała, przestraszliwie biała,
Na tle ciemnicy jakby fosfor pała.
Wejście otwarte, — i oto, oczyma
Własnemi, ujrzał kobietę-olbrzyma.
— Chociaż kagańca pod namiotem niema,
W namiocie jasno! Od niej biją łuny

Co wszystkie władze człowieka rozprzęga,
I zimną dłonią w dno sumienia sięga.

Miller odrętwiał..... Pewien, że już kona,
Chciał oczy zamknąć, i niemógł. A ona,
Jak słup z płomieni szła wciąż rozwichrzona,
Prosto ku niemu, aż nad jego łoże
Ściągnęła rękę, i rzekła:

— „Któż może
„Wziąć gród, gdzie własną stolicę założę?
„Ja tutaj wodzem! Ja tutaj królową!
„Ja każę tobie: nie walcz z Częstochową!
„A jeśli oręż podniesiesz na nowo,

**„Własne twe kule rzucę przeciw tobie!“**

**Miller stygł—tężał—i wił się sam w sobie—**
**I pytał:—„Gdzie ja? Czy leżę już w grobie?**
**„Ktoś ty jest, vizjo nadludzkiego rodu?“**

**Potem się zerwał.....** Silny jak za młodu,
**Wyskoczył z łoża.** Uczuł tchnienie chłodu,
Co wiało z progów otwartych. Już ona
Znikła, lecz biała namiotu opona,
Jeszcze się za nią chwiała odchylona,
I widać było, na gwiazdach oparty
Modry widnokrąg, i ognie, i warty.
— „Więc tu ktoś wchodził gdy namiot otwarty?
„Byłże to człowiek? Nie, — strach co mną miała,
„Przynosi powiew innego żywota.
„Nie! To nie była śmiertelna istota!“

Może zawoła? Może wodzów zbudzi?
Lecz jak się przyznać, że Millera, z ludzi
Najmężniejszego, senna groźba łudzi?

Rozniecił światło. Siedzi osłupiały.
Oczy mu wpadły, usta posiniały,
I włos mu powstał niby płomień biały.

. . . . . . . . . .

Tymczasem Marja, w szarym płaszczu chmury,
Wraca pospiesznie na szczyt Jasnej Góry.
Witana w drodze przez różowe chóry
Wojsk uskrzydlonych, schodzi do kaplicy,
W której Kordecki, niemy, bladolicy,
Leży na głazach, i wzywa Dziewicy.

Przeor, gdy obiegł wały i bastjony,
Gdy ze słów sypnął świeży wał obrony,
W mury kościoła powrócił strudzony.
Lecz i tam jeszcze, ten rój ziemskich twarzy,
Ten grzmot organów, ten blask co się żarzy
Nad choinową gęstwiną ołtarzy,
Dręczą mu serce i źrenice nużą.
Przyszła godzina, gdy taką podróżą
Rozbity sternik, uląkł się przed burzą.

Ach, nikt nie wiedział, jak okropna zmiana,
Zaszła w nadziejach i męztwie kapłana!
Ta wielka dusza, dotąd niezachwiana,
Dziś po raz pierwszy, o Boże..... zwątpiła!

Próby najcięższe Bóg najśmielszym zsyła.
Gdy Kordeckiego raz odbiegła siła,
Głębiej od innych spadł w otchłań bojaźni,
Cel swój dostrzegał coraz niewyraźniej,
I z rozburzonych głębin wyobraźni,
Widział wschodzące obrazy złowieszcze.
— Tyle nad sobą miał potęgi jeszcze,
Że bicie serca i mrożące dreszcze,
Umiał pokrywać spokojnem obliczem.
Zdradzon od męztwa, nie zdradził się niczem.

Lecz kto z cierpieniem chodzi tajemniczem,
Ten cierpi dwakroć.
Oto twarz zasłania.
Chce ciekawego uniknąć badania,
I przerażony, dławiąc się od łkania,
Jak potępieniec ucieka z kościoła.
Wbiegł do kaplicy. Mrok i strach dokoła.
Jedyna lampka, jak oko anioła
Mruga na głębi, a zewsząd noc głucha.
Wleciał, podobny do białego ducha,
Padł na kamienie, i płaczem wybucha!

Kordecki płacze? Gdzież, kiedyż zobaczę
Dziw boleśniejszy? Gdy Kordecki płacze,
Któż będzie ufał? I patrzcie: Rozpacze,
W postaci Pokus obstąpiły mnicha.

— „Marjo!“ — Kordecki uskarżał się z cicha.
„Oddal odemnie dno tego kielicha,
„Lub..... co rzec chciały me usta zuchwałe?
„Ja, pył, obrażam twą serdeczną chwałę!
„Pył..... ale cierpię! Cierpienie jest śmiałe.
„Ja śmiem cię pytać — śmiem żal mieć do ciebie!
„Czyż nasi, wodzów nie mają śród siebie,
„Ty, czyż już nie masz cherubina w niebie,
„By na mnie zwalić cały ciężar wojny?
„Wszak wziąłem habit po to, by spokojny
„Prowadzić żywot? Czemże jestem zbrojny?
„Gdzie moje wojska? Czyż śmierć mnie uznała
„Za pana? Z niebios czyż Bóg spuszcza działa,
„Abyś odemnie zwycięztw wymagała?

„Lecz nie..... to we mnie przemawia głos pychy.
„Wszak sam wyrzekłem: Dla mnie żywot cichy.



Kościół w Wieruszewie, miejscu rodzinnem ks. Kordeckiego.



Cela ks. Kordeckiego w Wieruszewie.

„Któż mi powiedział, że powinny mnichy,
„Stawać z rycerstwem w obronie swej ziemi?
„Wszak tu jest Miecznik z tyloma mężnemi?
„Zkąd księdzu prawo hetmanić nad niemi?
„Zrzeknę się władzy. Zdeptać się pozwolę.
„Wrócę do celi. Z popiołem na czole.
„Płakać mi póty, aż Bóg zmieni dolę!“

Podniósł się Przeor, i w zamiarze stały,
Chce wyjść. Lecz co to? Stoi! Czy ze skały
Wykuty? Stopy mu zlodowaciały,
Drogę ćmi łuna w kaplicy rozlana.
Zląkł się... Zadrżało sumienie kapłana.

— „Czyżby to nowy był podstęp szatana,
„Co do pokuty zamyka mi drogę?
„Muszę pójść. Pójdę! O Boże, niemogę...“

Tu, Zachwycenie przemogło w nim trwogę,
Odżył! Wzniósł czoło! Słyszy na przemiany,
Szmery i huki harmonji nieznanej,
Niby organy, lecz takie organy,
W którychby grały sta, tysiące światów!
Łuny rozgarnia jak zwoje szkarłatów,
Czuje aromat niewidzialnych kwiatów,
(Zapewne rajskich), i na wielkiej ścianie,
Tam gdzie cudowne stało malowanie,
Widzi światełko.... Sercem spojrzał na nie.
W światełku tęcza majaczy pasiasta —
Bryzga barwami — na wzwyż się rozrasta —
Bierze kształt — postać — to bozka niewiasta!

Jej suknia długa, jak wodospad biała,
Aż pod jej stopy z szumem się rozlała.
Jej płaszcz co ponsem najgorętszym pała,
Dziwnie odbija od łagodnych rysów —
Drga złotym ściegiem dziejowych napisów —
A farbowany jest krwią sodalisów.
Jej djadem skrzy się przez wiotką zasłonę;
Jakby brylanty w gwiazdy oprawione,
Wszystkie łzy matek wpięte są w koronę.
Z pod fałdów płaszcza, niby chwała żywa,
Tatrzański skrzydlacz do lotu się zrywa,
W ręku lśni szabla, której klinga krzywa,
Zda się wycięta z młodego księżyca.
Twarz, któż opisze? Białawe jej lica,
Jak Sandomierska jaśnieją pszenica.
Pod srebrnym rąbkiem jasno - złote włosy,
Igrają z chrzęstem jak owsiane kłosy,
A wzrok się łzawi od Wiślanej rosy.

A wyraz lica? Wszystkie tajemnicze
Uroki, wdzięki, rzewności, słodycze,
Tworzące Miłość, świecą przez oblicze,
Jakby przez słońce. Szczęsny, kto nie skona
Ze szczęścia, patrząc w tę postać, bo ona,
To sama Miłość! Miłość, ubóstwiona!

Taką jest Marja, gdy na strój godowy
Niebios, przywdzieje strój ziemskiej Królowej.

Kordecki poznał Panią Częstochowy.
Ramiona ku Niej wyciągnął radośnie,
I pił z Jej oczów czar, podobny wiośnie
Innego życia!

Ona przed nim rośnie.
Świetlaną szablę ku niemu wymierza,
I po ramieniu zlekka go uderza,
— „Ja cię pasuję na mego rycerza,
„Walcz! Dziś zwyciężysz.“

Tak się odezwała —
Bledła — i nikła.... Jeszcze oko pała....
Już tylko stopka przebłyskuje biała....

Mrok padł. Czyż znowu nadzieję zagrzebie?
Porwał się Przeor.. .Odchodzi od siebie.....
— „Gdzie okno? Biedz tam! Szukać Jej na niebie!“

Przytłoczył lica do zapory szklannej,
Lecz już na niebie, cień Najświętszej Panny
Drobniejąc, bierze kształt Gwiazdy Zarannej.

. . . . . . . . . . .

*Deotyma.*

# Kordecki w historyi.

Kiedy wojska Karola Gustawa pustoszyły kraj od Bałtyku do Karpat, zjawiła się książeczka pod napisem: „Lament utrapionej matki, już, już konającej, na syny wyrodne, złośliwe i niedbające na rodzicielkę swoją.“

Bezimienny autor w przejmujących a śmiałych słowach wyliczył tam i napiętnował ciężkie winy i grzechy rodaków swoich, im przypisał słusznie nieszczęścia kraju i odmalowawszy jaskrawo rozpaczliwe jego położenie, zakończył:

„W samym tylko Panu Bogu nadzieja, a w pokucie świętej ,do której gdy się ze szczerego serca udamy, z Nieba otrzymamy posiłki, z Nieba dadzą nam męztwo, śmiałość, siły i serce nieustraszone...“

Głos ten wydarł się ze szlachetnych piersi Szymona Starowolskiego, kanonika krakowskiego. A jakby zanosząc jeszcze ostatnią, błagalną prośbę, umieścił na okładce swojej książeczki wizerunek N. M. Panny i położył pod nim napis: *Tu nos ob hoste protege et hora mortis suscipe!*

Jakoż zjawiła się ztamtąd pomoc.

* * *

Był na pograniczu Wielkopolski i Śląka klasztor OO. Paulinów, a w nim obraz Bogarodzicy, wedle podania przez św. Łukasza malowany i szeroko a daleko cudami słynący. Miasteczko zwano Częstochową (od prastarego imienia Czastoch), a klasztor — Jasną Górą *(Clarus Mons)*. Było to zdawna, od wieku XV, ognisko pobożności i pracy duchownej. Już w roku 1523 wytłoczono u Unglera w Krakowie dzieje obrazu częstochowskiego z jego drzeworytem. Tutaj również O. Mikołaj z Wilkowiecka napisał wierszem „Historję o chwalebnem Zmartwychwstaniu Pańskiem,“ która, wydana około r. 1550 w Krakowie, stała się wzorem widowisk pasyjnych w Polsce. Ale dopiero w XVII wieku, za najazdu szwedzkiego, przeznaczono Jasnej Górze odegrać pełną chwały rolę dziejową.

Przeorem klasztoru jasnogórskiego był natenczas ks. Augustyn Kordecki. Nie będziemy powtarzali o nim ogólnie znanych, skąpych zresztą szczegółów biograficznych. Nawet ogłoszony teraz ze spółczesnego manuskryptu opis życia sławnego przeora niewiele dat dorzuca do tego, co w roku 1846 pozbierał skrzętnie Michał Baliński w „Pielgrzymce do Jasnej Góry.“ Natomiast do charakterystyki Kordeckiego relacja owoczesna jest nieocenionym nabytkiem. Zawiera nadto przeoczony przez Balińskiego szczegół, że Kordecki, wstępując w 30 roku życia do zakonu, „posiadał już naukę odpowiednią, gdyż studja filozoficzne i teologiczne, będąc jeszcze świeckim, odbył.“ Jak tych lat trzydzieści syn mieszczański z Iwanowic spędził i gdzie się wykształcił, tego jednak nie wiemy. Może w Krakowie? może przy zacnym Starowolskim? To tylko pewna, że łączyło ich powinowactwo duchowe. Kanonik krakowski u grobu Władysława Łokietka rzucił dumnemu Karolowi Gustawowi słowa: *Deus mirabilis,*

*fortuna variabilis!* a przeor jasnogórski na wzywający do poddania się list tegoż króla odpowiedział wystrzałami z dział.

Jeszcze Władysław IV obwarował Jasną Górę basztami, lecz obawa zakonników o nietykalność cudownego obrazu była tak wielka, że za podejściem Szwedów, wywieziono wizerunek Bogarodzicy do Lublińca na Ślązku, do zamku Andrzeja Celarego. Na Ślązk również, do Głogowa, wyjechał prowincjał, o. Teofil Bronowski. W malutkiej, nieprzygotowanej zgoła na szturmy forteczce, pozostał ks. przeor Augustyn Kordecki.

Było pospołu z nim, jak sam stwierdza, 70 zakonników, *pięciu* szlachty, ich służba i 160 piechurów, przeważnie wieśniaków okolicznych. Tę garść obległo 10,000 wyćwiczonego w bojach żołnierza, prowadzonego przez zwycięzkich aż dotąd wodzów. Srogie, przeplatane szturmami oblężenie trwało siedem tygodni — i skończyło się sromotnym odwrotem zdziesiątkowanych Szwedów. A stało się to jedynie dzięki Kordeckiemu, albowiem załoga kilkakrotnie skłaniała go do kapitulacyi. Lecz on wytrwał i zwyciężył.

Wrażenie obrony Jasnej Góry było potężne.

„Jest w Polsce miejsce święte, *Clarus Mons,* do którego odbywają się sławne pielgrzymki — pisał z Głogowa do Paryża sekretarz przyboczny królowej Marji Ludwiki Gonzagi, Piotr des Noyers, dnia 15. listopada 1655 roku. — Szwedzi oblegli je, grożąc spaleniem wszystkich wsi sąsiednich, jeśli się nie podda. Zakonnicy odpowiedzieli armatami i zmusili Szwedów do odstąpienia. Zakonnicy upewniają, że Szwedzi nigdy ich nie zdobędą, co niemałym wstydem okrywa szlachtę naszą...“

Dnia 19-go grudnia pisał znowuż: „Nieporównanie pięknym czynem odznaczyli się zakonnicy... Przypisują to jedynie cudownej łasce Bozkiej, nie zaś swojej dzielności i zasłudze. Pierwszy to bowiem opór, stawiany Szwedom ku hańbie tych, co silniejsi, a bez walki się poddali. Skutkiem oblężenia Częstochowy ośmiuset dobrze uzbrojonych włościan ruszyło ścigać Szwedów. Z nimi złączyło się trzysta szlachty. Jak się zdaje, wywoła to ogólne przeciwko Szwedom powstanie...“

Tak się też stało. Na wieść o oblężeniu Jasnej Góry szlachta pojednała się z królem-wygnańcem, wezwała go do powrotu i podpisała w Tyszowcach, d. 29-go grudnia 1655 roku, akt związku przeciw najezdnikom. Nie pomogło Szwedom drukowanie i rozsyłanie po Europie kłamliwego raportu o zwycięstwach, pod Częstochową odniesionych. Zanim rok upłynął, Europa wydrwiła Karola Gustawa wierszem niemieckim, dołączonym do „Nowin z Gdańska“ d. 15-go listopada 1656 roku. Oto pierwsza i ostatnia zwrotka tej rozmowy karolowej w oryginale i jej przekład polski:

— Wo bleibst du doch, mein Königsmark?
Ach Vater komm' geschwinde!
— Mein Sohn, dein Hoffnung ist ein Quark,
Ich bin zur Danziger Münde.

— Gdzieżeś, ojcze Königsmarku?
W trudnej przybywaj godzinie!
— Marna, synu, twa nadzieja:
W gdańskiej twierdzy jestem ninie.

— Wirtembergu! Stęsknionemi
Wyglądam ciebie oczyma!
— Ach! wyglądasz nadaremnie:
Mnie w więzieniu Polak trzyma.

— Gdzieżeś, gdzieżeś Oxenstjerno,
Ty mój w Polsce namiestniku?
— Zanim sięgnę po koronę,
W polskim wprawię się języku.

— Gdzieżeś o mądry Eskenie,
Coś mi zawsze dobrze radził?
— Ach, mój panie! Żołnierz polski
Na stryczku mnie uprowadził.

— Gdzie jest Wejh z Lauterfeldu?
I Lewenhaupt czy jest blizko?
— Ścisłe więzienie w Zamościu
Jest teraz nasze siedlisko.

— Gdzie hrabia Thurn, gdzie ten rycerz,
Cnymi przodki znamienity?
— Gdym na Rygę szturm przypuścił,
Zostałem w ścisku zabity.

— Gdzie się podział nasz Izrael?
Jakby przepadł pod Działdowem!
— Ach, mój panie! Wróg mi szablą
Głowę rozłączył z tułowiem.

— Gdzieżeś, o śmiały Kalksteinie?
Nie stawiszże ze mną czoła?
— Ach! nie mogę: tam na polu
Padłem trupem od mogoła.

— Książe heski, miły szwagrze,
W pomoc mi zdążaj z oddali!
— Żal się, Boże! Mnie Polacy
Na kawałki posiekali.

— Gdzieżeś, o książe wejmarski?
Jakże ci sprzyjają bogi?
— Nie najlepiej... Tak sprzyjają,
Że już nie wstanę na nogi.

— Gdzieżeś, książe Radziwille,
Coś nam, jak brat, zawsze drogi?
— Mnie rannego, zbolałego
Zagnał w jasyr Tatar srogi.

— Gdzie teraz książę Anhaltu?
Wszakże dotąd jeszcze żywie?
— Ach! Polakom się poddałem,
Gdy mnie ukłuli dotkliwie...

— Młody Waldecku, Brunellu,
Bocku, przybądźcie tu, mili!
— W straszne wzięto nas obroty,
Srodze kurtę nam skroili.

— Więc ty, młody Königsmarku,
Stań na wojska mego czele!
— Ach, mój panie! Jam się wody
Wiślanej napił zbyt wiele...

— Przybywaj, hrabio pasawski,
Zbierzesz tu łupów bogato!
—Tylem zebrał, że dziś oto
Blady, martwy leżę za to...

— Jakto, panowie? Czy w przykrej
Chcecie opuścić mnie dobie?
— Bądź zdrów! Sam sprostuj, coś skrzywił;
Wypij, coś nawarzył sobie!

— Ach, pomóż mi, Oxenstjerno!..
Radziejowski zmienia myśli...
Kromwel, szkot, fin, turek, djabeł
Oby na pomoc mi przyszli!

Hilf Oxenstern! Wo soll ich hin?
Radziewsky fällt in Zweifel.
Hilf Cromwell, Schott, hilf Lapp und Finn,
Hilf Tartar, Türk und Teufel!

* * *

Ale nietylko wypędzenie Szwedów pociągnęła za sobą bohaterska obrona Jasnej Góry. Obudzone z odrętwienia sumienie narodowe domagało się zmazania ciężkiej winy, przez Starowolskiego i Kordeckiego wytykanej. I ztąd właśnie zrodziło się *votum solenne*, które w d. 1. kwietnia 1656 roku, przed obrazem N. M. Panny w farze lwowskiej, wypowiedział Jan Kazimierz w obliczu ludu, duchowieństwa, dworu i senatu.

„Nauczył Bóg mądrości Polskę, niechcącą przedtem słuchać świętych jego wyroków; przyznała się do grzechu, ściągającego gniew Boży“ — pisze o tem Wawrzyniec Rudawski.

A chociaż nie dano królowi spełnić jego przysięgi, lśni ona jak djament w dziejach naszych.

* *

A tymczasem pierwszy sprawca ocknienia się narodu, ks. Augustyn Kordecki, obchodził wielkie święto. Na samą Wielkanoc 1656 roku, w niedzielę Zmartwychwstania i Zwycięstwa (*Dominica Resurectionis et Victoriae*) przywrócono przywieziony z Lublińca obraz Bogarodzicy na ołtarz, którego

on nie dał skalać wrogom. A Jasną Górę od tego czasu zaczęto nazywać również Górą Zwycięstwa (*Mons Victoriae*).

Chwała jej rozbrzmiewała teraz po całym świecie. Sławiono ją prozą i rymem. Oto np. „Hymen jasnogórski" Wespazjana z Kochowa Kochowskiego:

Panno, na Jasnej Góry co kasztelu
Tarcz polska jesteś ulubionym z wielu,
A z świątnice bogatej
Poglądasz na przychylne chwale Twej
Sarmaty, —

Ty nie odrzucisz, Panno, choć stan
podły
Z ufnością niesie swe ku Tobie modły,
A przychodzeń daleki
Nie bywa odepchniony od Twojej
opieki.
Sprzykrzony więzień przynosi kajdany;
Galernik dzięki czyni opłakany;
Żeglarz, pełen wdzięczności,
Pali świece, wydźwignion z morskiej
nawałności.
Ile jest w objazd od Baltydy kraju,
Aże po Euksyn i brzegi Dunaju,
Gdzie Wołga, gdzie Don pływa, —
Ciebie, Panno, mieszkaniec okoliczny
wzywa,
I co się w nurtach bystrych Dniepru
myją,
I którzy białej Wisły wodę piją,
Tu ich droga nie strudzi.
Idą z Litwy, Inflantów, Kurlandji,
Żmudzi,
I Dalmaci z Wołoszą
Tu w pokornych modlach swych
pociechę odnoszą....

Nierównie prościej, ale natomiast serdeczniej brzmi pieśń kantyczkowa, licząca bez mała lat dwieście, gdyż napisana czasu koronacji obrazu w roku 1717:

W Jerozolimie wieki trzy gościła,
A w Carogrodzie pięćset lat bawiła.
Przez pięćset w Bełzie żywiłaś w czas
drogi
Lud Twój ubogi.

Na bełzkim zamku, w marsowe upały,
Szyję przeszyta od tatarskiej strzały,
Zkąd wzięłaś impet iść w Polską Koronę,
Na jej obronę.

Na piąte sto lat nieprzerwanie płynie,
Jak przez Twe łaski Jasna Góra słynie,
Dajesz żyjącym Twe dary nieskrycie—
Umarłym życie.

Znać, żeś to miejsce sobie ulubiła,
Żeś go Husytom wziąć nie dopuściła,
Świadkiem jest od nich szpadą dwakroć cięta,
Twarz Twoja święta....

Poznał Mars szwedzki, jak Polskę
zwojował,
Gdy Częstochowę Twoją atakował,
Bo na Maryję trafił, co broniła,
I Szwedów zbiła...

Niebieskich pułków wielowładna Pani,
Poskromicielko piekielnych otchłani!
Przykryj nas płaszczem miłosierdzia
Swego,
A broń nas grzesznych gniewu Syna
Twego...
Ugaś na zawsze ogniste pożary,
Od morowego broń powietrza kary,
Niech ludzie wojny i głodu nie znają,
Co Cię kochają...

*Władysław Korotyński.*
*„Kurjer Warszawski."*


## Zaproszenie do przedpłaty.

***Czas największy zapisać***

## „Pracę"

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest **każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

**tylko 1 mrk. 25 fen.**

*Uwaga:* Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z Poznania.

***W 26-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.***

## *Śpiewaczka ludowa*

***z bardzo licznemi illustracyami.***

***Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.***

***Obszerny bardzo początek tej powieści — 25 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.***

***Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.***

***Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.***

*Każdy nowo przybyły Abonent niech nam doniesie dokładnie, od którego numeru „Pracy" życzy sobie mieć powieść p. t. „Śpiewaczka ludowa." Jednocześnie upraszamy tych Szanownych Abonentów, którzy już otrzymali pierwsze arkusze tej powieści, a życzą sobie mieć dalsze, o łaskawe dokładne doniesienie nam, które arkusze przysłać im mamy. W każdej „Pracy" jest każdy arkusz powieści numerowany, więc należy n. p. donieść: „proszę mi przysłać arkusze 18, 19, 20 lub też arkusze 15, 16 i 17 i t. p." Na dowód prosimy załączyć kwity pocztowe abonamentowe.*

*Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.*

## Kwity abonamentowe

***pocztowe na nowy kwartał zamieszczamy na osobnej stronie z usilną prośbą o wczesne odnowienie przedpłaty i podanie kwitów krewnym, przyjaciołom lub znajomym z gorącą zachętą do przedpłaty.***

***Kto wcześnie nie zapisze „Pracy" ten nie otrzyma na czas numeru noworocznego, pięknie illustrowanego i obfitego w doborową treść.***

Już czas największy zapisywać

## „Czytelnię Polską"

**na nowy kwartał.**

„CZYTELNIA POLSKA" zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abteilung II t. poln. 13."

**ABONAMENT**

**„CZYTELNI POLSKIEJ"**

**wynosi kwartalnie**

**60 fenygów.**

**W GALICYI**

**i wogóle w Austro-Węgrzech**

## ❀ ❀ 97 halerzy. ❀ ❀

**Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 32 halerzy.**

**W 47-ym zeszycie**

## „Czytelni Polskiej"

rozpoczęliśmy druk bardzo pięknego, nadzwyczaj interesującego i na wskroś patryotycznego obrazka narysowanego z natury przez B. Bolesławitę (J. I. Kraszewskiego) p. t.

## „Dziecię Starego Miasta"

Obrazek ten to prolog znanych krwawych wypadków w Warszawie 1861 i 62-go r.

Smutne to chwile dla tych, co na nie patrzeć byli zmuszeni, wieku stej hańby dla całej Rosyi, smutny tryumf dla wojsk, dla rządu, co się tak okazał bezsilnym aż do gwałtu; — dla doradzców rzezi i siepaczów. — Ale Bóg chciał przezeń pokazać światu czem są ci, co w imię porządku i spokoju idą, broniąc prawdy pozornie, aby bezprawie szczepić i despotyzm osłaniać.

Początek obrazka p. t.

## „Dziecię Starego Miasta"

otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej powieści zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi „Czytelni Polskiej."

---

**Kwity na „Czytelnię" zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.**

---

# Wiadomości.

— *Zwracamy* Szanownym Czytelnikom baczną uwagę na *zaproszenie do przedpłaty*, gdyż niebawem rozpocznie się nowy kwartał. Żywimy nadzieję, że liczba przedpłacicieli naszych, która dotąd zwiększała się stale, zwiększy się i teraz. Nadzieja nasza oparta jest na przekonaniu, że dobrze spełniamy nasz obowiązek, jako pismo szczerze polskie, pod którego sztandarem wszystkie klasy społeczne, wszystkie stronnictwa dla wymiany myśli i obrony interesów narodowych ugrupować się mogą. Od znajomych i nieznajomych nam bliżej Czytelników odbieramy bardzo często listy, świadczące, że na pożytek naszego społeczeństwa idzie praca nasza mozolna, że usiłowania nasze, skierowane ku ożywieniu ducha narodowego, nie idą na marne, że wreszcie w najodleglejszych zakątkach ziemi mamy szczerych i oddanych sprawie przyjaciół, którzy nas darzą przyjaźnią i zaufaniem; dzięki też ich pracy znajdujemy coraz silniejsze i skuteczniejsze poparcie moralne wśród społeczeństwa.

Dla nas jest ta przyjaźń, to zaufanie i ta sympatya Szanownych Czytelników wystarczającą nagrodą za rozmaite ofiary, których nie szczędziliśmy, więc też nie w imieniu własnem, ale w imieniu sprawy odwołujemy się tutaj do przyjaciół i zwolenników naszych: Starajcie się usilnie o zjednanie nowych przedpłacicieli dla „Pracy!" Korzystajcie z każdej sposobności zachęcania przyjaciela, znajomego, lub też krewnego do zapisania sobie „Pracy!" Pamiętajcie, że przez czytanie pisma polskiego pisma narodowego zyskuje święta nasza sprawa ojczysta coraz to nowych obrońców i szermierzy.

Naszemu ludowi potrzeba coraz więcej oświaty, aby mógł skutecznie bronić swych ideałów narodowych. „Praca" dąży na każdym kroku do tego celu: przez oświatę do rozbudzenia ducha narodowego.

Pod tem hasłem walczymy, z tem hasłem zwracamy się dziś do naszych przyjaciół, prosząc o poparcie — pod tem hasłem zwyciężymy!

— *Znakomity* kompozytor i dyrektor muzyki tumskiej, powszechnie szanowany obywatel naszego grodu, p. *Bolesław Dembiński*, obchodził dnia 4 go b. m. 60 letni jubileusz swej pracy na polu muzycznem.

Zacnemu Jubilatowi zasyłamy na tej drodze najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności.

— **Listy wyborcze.** Panowie delegaci: S. Chociszewski, A. Marweg, T. Preiss, W. Głębocki, B. Samoliński, B. Śniegocki, A. Karlewicz, S. Wrzesiński, W. Adamski, J. Kurowski, T. Glock, ks. Kościelski, S. Michalski, W. Marcinkowski, K. Radomski, K. Racinowski, Br. Noskiewicz, Budnik, St. Chmielewski, Rżaniak, Bandych, Pluciński, i J. Milczyński zechcą łaskawie wysłuchać ponownej prośby Komitetu Wyborczego i odesłać listy wyborców z ostatnich wyborów sejmowych do rąk p. *Karola Rzepeckiego przy Piekarach l. 7.* Wyrażamy przekonanie, że po raz czwarty nie każecie się panowie nam prosić o naszą własność.

*Komitet wyborczy dla m. Poznania.*

— **Na Gwiazdkę** powinniśmy zakupywać przedewszystkiem podarki praktyczne i nie wydawać w tych ciężkich czasach pieniędzy na fatałaszki. Piękny i gustowny garnitur mebli w saloniku, bufet orzechowy lub między innemi szafa kuchenna oto podarki praktyczne gwiazdkowe, któremi ucieszymy najwięcej ukochane osoby, a których wielki wybór ma na składzie p. *W. Gabryelewicz* przy ulicy Wiktoryi nr. 12. W magazynie mebli p. *W. Gabryelewicz* a oglądać można istne cacka artystycznej sztuki stolarskiej, wykonane wykwintnie w własnej fabryce według najnowszych modeli paryzkich i wiedeńskich pod osobistem kierownictwem p. G., zawodowca wszechstronnie wykształconego i znakomitego architekta wewnętrznej dekoracyi, którego jak najusilniej polecamy względom Szanownej Publiczności. Kto więc chce zakupić bądź całą wyprawę, bądź garnitur wyściełany, bądź też jakikolwiek sprzęt domowy czy wykwintny, czy też pojedyńczy tanio i rzetelnie, niech się uda z zaufaniem do wyżej wzmiankowanej firmy, niech zakupi tam meble, a zadowolonym będzie zupełnie.

— **Polecamy** uwadze naszych Czytelników znacznie powiększony i bogato zaopatrzony skład delikatesów, win i kolonialny p. *W. Niedbalskiego* przy ulicy Rycerskiej Nr. 1.

— **Na ogłoszenie** p. *W. Hahna* przy Starym Rynku nr. 55 dotyczące wielkiej wyprzedaży [illegible] znacznie zniżonych cenach [illegible] uwagę Szanownym [illegible]

— **Zwra**[illegible] Czytelnikom na ogłoszenie dru[illegible]yńskiego w Poznaniu, dotyczące dziełek i nut na Gwiazdkę. Szczególnie podnieść należy następujące książki: *Wielki Śpiewnik Polski*, zawierający 44 powieści z pięknemi obrazkami *Wł. Mottego, Klechdy*, starożytne podania i powieści ludowe z rycinami Andriollego, Gersona, Pillatiego i Sypniewskiego, *Wielki deklamator polski*, zawierający najpiękniejsze utwory wieszczów naszych. Dalej 10 tomów powieści z dziejów naszych, które w ozdobnej oprawie kosztują tylko *6 m.* Z nut wymienić należy *101 tańców* na fortepian, cena 3 m. takie same na skrzypce cena 2 m. Dziełka te i nuty prześle drukarnia odwrotnie. Adresować *Fr. Chociszewski Poznań — Posen.*

— **Muzyka** uprzyjemnia nam bez zaprzeczenia nieraz chwile naszego mozolnego życia. Nie wszyscy jesteśmy muzykalni, więc też nie wszyscy możemy sobie zagrać w domu, bądź na pianinie, bądź na skrzypcach, bądź też na jakimkolwiek innym instrumencie, ale wszyscy możemy posiadać w domu własną muzykę, jeżeli kupimy *na Gwiazdkę takibądź samogrający instrument.*

Wielki wybór samogrających instru-

mentów ma na składzie rodak nasz i fabrykant instrumentów muzycznych p. *F. Niewczyk* przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 14 blizko kościoła św. Marcina.

Pan *F. Niewczyk* ma na składzie wielki wybór instrumentów bądź własnej fabrykacyi, bądź też pochodzących z pierwszorzędnych fabryk, jako to cytr, gitar, mandolin, harmonik, skrzypiec, katarynek itd. oraz samogrających instrumentów, stosownych na podarki gwiazdkowe, po cenach rzetelnych, bardzo tanich. Niech każdy z zaufaniem uda się po jakibądź instrument muzyczny do p. *F. Niewczyka* (patrz stale zamieszczany inserat), a przekona się, że kupi dobry towar za tanie pieniądze.

— **Portrety.** W handlu księgarskim i składach materyałów piśmiennych ukazało się wydanie 6-ciu medalionowych portretów: Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Moniuszki, Sienkiewicza i Paderewskiego. Są to podobizny wykonane na papierze kolorowane, naśladujące portrety na porcelanie i tak utrwalone, iż kurz można zmywać zwilżoną ściereczką. Nizka cena tych portretów, 50 fen., powinna je spopularyzować, w miarę powodzenia bowiem tej proby wydane będą nowe serye podobizn poetów, artystów itp. Główny skład na Niemcy mają pp. Rzepecki i Święcicki w Poznaniu P[illegible]ary 7, do których panowie [illegible] właściciele składów galan[illegible] zgłaszać w razie z[illegible].

— [illegible] Zdziwi się zapewne niejeden [illegible]ów, że aż z Sokala klasztoru [illegible]rnardynów reguły św. Franciszka odzywam się do Was Bracia i Siostry, których poznałem z pobożności i ofiarności, gdy byłem wikarym w klasztorze Kalwaryjskim. Przeznaczony na Gwardyana do Sokala, mam restaurować stary klasztor nasz nad rzeką Bugiem położony a słynny z Obrazu cudownego Najświętszej Maryi Panny, ukoronowanego w r. 1724. Obraz ten wymalowany cudownym sposobem przez Anioła podobny jest do obrazu M. B. Częstochowskiej, słynie z cudów od r. 1599. Klasztor Sokalski był warownią silną, oparł się najazdom tureckim w r. 1655 za czasów Bohdana Chmielnickiego, dalej w r. 1831 i 1863 był schronieniem wojsk polskich, które broniły Ojczyzny; dwa razy przez pożar zniszczony powoli dźwiga się z upadku, ale dźwignąć się nie może zupełnie z braku funduszów lud ubogi daje małe ofiary, a ręka bogatych się skurczyła na cele kościelne, tylko lud ubogi krwawo pracujący na kawałek chleba czasem ratuje nas w restauracyi kościoła i klasztoru w Sokalu.

W tym roku przeniesiono tutaj studjum Filozoficzne kleryków, uczących się na kapłanów, a mam ich na wychowaniu 20, mają ci lewici być w przyszłości podporą zakonu naszego, z niemiałością pukam do serc ofiarnych, bo dzisiaj bieda wciska się pod strzechę chat wiejskich i miejskich, ale ufam pobożności i ofiarności ludu, który kocha Maryę i chociaż ubogi daje często grosz wdowi na restauracyę kościołów Maryi poświęconych, dlatego proszę o jałmużnę, choćby małą na odrestaurowanie kościoła i klasztoru naszego w Sokalu.

Klasztor dał odbić litografię M. B. cudownej w Sokalu w wielkim formacie, kto pośle ofiarę co najmniej 2 korony, albo 2 marki pruskie, lub 1 rubla, będzie miał udział w 52 Mszach św. w każdą niedzielę w roku odprawionych — będzie zapisany do związku mszalnego i otrzyma na pamiątkę kopię Obrazu M. B. Sokalskiej w rurce pocztą, ale dla oszczędzenia pocztowej opłaty, lepiej gdy kilka osób pośle ofiary na jeden przekaz pocztowy, a ja pod jednym adresem wyszlę obrazy fundacyjne. Dopomożcie nam w tem dziele Bożem, Bracia i Siostry ofiarami, a my zakonnicy w Sokalu dopomagać Wam będziemy ofiarami Mszy św. za życia waszego i po śmierci.

Adres:

*X. Fidelis Masłowiec,*
Gwardyan klasztoru OO. Bernardynów
w Sokalu Galicya (Galizien).

*Zmarli:*

† Ś. p. *Wincenty Walczakiewicz* w 75 roku życia dnia 29-go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Franciszka Szumska z domu Kulawska* dnia 1 go b. m. we Wronkach.

† Ś. p. *prof. dr. Bronisław Cybichowski* dnia 3-go b. m. w 59 roku życia w Poznaniu.

† Ś. p. *Helena Starkowska* dnia 2-go b. m. w Rosku.

† Ś. p. *Teofila z Raszewskich Szczanińska* dnia 6-go b. m. w Kaliszu w 73 roku życia.

† Ś. p. *Stanisława Gałecka* dnia 7-go b. m. w Sulmierzycach.

## Wiadomości literackie.

— „**Dzieje Polski** przystępnie a obrazowo przedstawił *Julian Bartyński* w dwóch tomach z illustracyami. Tom I. Poznań, nakł. *Karola Kozłowskiego*, czcionkami drukarni „Dzien Pozn." 1904 r." Mamy przed sobą pierwszy tom dzieła, które w tym miesiącu wyjść miało całe, ale druk opóźnił się z powodu, że będzie obszerniejsze i liczniejszemi ozdobione illustracyami, aniżeli zapowiedziano. Publiczność, która drogą prenumeraty dzieło to zamawiała, odbierze je w całości dopiero w lutym, nie będzie jednak przez opóźnienie poszkodowaną, owszem cierpliwość czekających zostanie nagrodzoną, gdyż *za tę samą cenę* obfitszy i staranniej obrobiony materyał dostanie się im do czytania.

Tom, który mamy w ręku, uprzedza nas pod każdym względem korzystnie o całości. Z największą przyjemnością i interesem czyta się to opowiadanie jasne, zwięzłe a barwne: nie brak tu ani zbioru faktów w danych momentach dziejowych, ani opowiadań anegdotycznych, przypominających powieści i wrażających w pamięć rzecz główną; ani ogólnych rzutów oka na całe epoki, poglądów na stan wewnętrzny kraju, na urządzenia państwowe, na znaczenie prac i działań w rozmaitych kierunkach. Tom kończy się na śmierci Zygmunta Augusta, a podnieść należy mądry i jasny podział dziejów, odpowiadający panowaniu największych królów i największej świetności Polski.

Bardzo dodatnią stroną dzieła są także liczne illustracye, dające podobizny pamiątek naszych przedhistorycznych i narodowych, wizerunki królów i sławnych ludzi polskich, wreszcie całe sceny z pewnych wydarzeń dziejowych. Obrazki są zawsze rzeczą ponętną, a w danym razie odpowiadają metodzie poglądowej; całość dopełniają bardzo dokładnie mapki i genealogiczne tablice. Wszystko przedstawia się też nader sympatycznie i pragnąć należy, aby ta nowa książka rozeszła się w najszersze koła, aby się w każdej polskiej znajdowała rodzinie ku jej ogólnemu pożytkowi.

— **Wielki Bajarz Polski.** Legendy, baśnie, powieści i gawędy ludowe z 8 rycinsmi Władysława Mottego i innych, Poznań 1903 str. 240.

Cały szereg najpiękniejszych naszych legend, baśni, podań, powieści i gawęd ludowych mieści się w „Wielkim Bajarzu Polskim;" zebrane są z pism K. Balińskiego, A. J. Glińskiego, O. Kolberga, J. I. Kraszewskiego, L. Siemieńskiego, R. Zmorskiego oraz z innych naszych pisarzy. Oprócz tego dołączono niektóre baśnie i legendy, dotyczące Wielkopolski, jak „Czarownice z Sulmierzyc", „Góra zamkowa pod Stęszewem", „Zatopiony kościół w Murzynnie", „Lisie góry w Ociążu", Walczące kościotrupy w podziemiach poznańskich", „Grób w Goruszkach" itd. Dziełko to ozdobione jest pięknemi rycinami Władysława Mottego, wykonanemi sposobem fotodrukowym, z których „Cień Barbary Radziwiłłówny", Bajka", „Djabeł w jeziorze krakowskiem", „Oblężenie Nakła", odznaczają się niezwykłemi zaletami kompozycyi, nigdy niezapomnianego illustratora naszego. Cena „Wielkiego Bajarza Polskiego" jest niezwykle nizką; egz. bez oprawy kosztuje 1 m, w zwyczajnej oprawie 1, 25 m., w ozdobnej w całe płótno, ze złoconemi wyciskami 1,50 m. Nabywać można „Wielki Bajarz Polski" w drukarni Fr. Chocieszyńskiego, Poznań, ul. Wodna nr 15, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach W. Ks. Poznańskiego, Galicyi i Królestwie Polskiem. Jest to najpiękniejszy tegoroczny podarek gwiazdkowy dla ludu i młodzieży.

## Od Redakcyi.

*Komitetowi Sokołów na Górnym Śląsku.* Odezwę zamieścimy w przyszłym numerze.

*Panu S. R. w Więcborku.* — Stosownego miejsca dla Pana nie mamy, a nie podobna uwzględniać wszystkich próśb, których odbieramy wiele.

*Panu Walentemu S. w L.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nie zamieścimy, gdyż wiersz ten był już drukowany w dawniejszych rocznikach „Pracy." Co do „Halki" to udaj się Pan po informacye wprost do dyrekcyi teatru poznańskiego.

*Panu Stanisławowi M. w Berlinie.*— Wszystkie miejsca są zajęte w naszej drukarni i na razie nie mamy dla Pana stosownego zajęcia.

*Panu St. A. w Z.* — Dodatku tego nie mogliśmy dlatego dołączyć, ponieważ zamiejscowa firma księgarska w Galicyi, z którą układ zawarliśmy, zawiodła nas i naraziła nawet na koszt nie mały.

*Panu Leonowi M. w Gnieźnie.*—Wiersz nadesłany nie nadaje się do „Pracy." Myśl dobra, ale forma licha, a błędów bez liku!

*Pani M. R. K.* — W okolicy Olsztyna lud polski jak na całej Warmii, ale większe majątki są w rękach niemieckich.

*Pani M. S. w Z.* — Jeżeli dobre— prosimy o przysłanie.

# Dział kobiecy.



## Sprawy zawodowe kobiet.

Często słyszymy i czytamy skargi na ofiary, jakie pociąga za sobą wszechpotężna a kapryśna władczyni: Moda.

Gdzież są jednak w istocie owe „ofiary mody“? Czyż są niemi owe eleganckie damy, zużywające swoje biedne mózgownice na wymyślaniu coraz nowych strojów, a swe drobne nóżki na bieganiu od krawca do modystki, od warsztatu do salonu? Czy może ofiarą tą jest małżonek, który płacił długie rachunki za toalety i kapelusze? Czy nareszcie przemysłowiec, który poczyniwszy zapasy, przez nagły — a tak częsty kaprys mody ponosi dotkliwą stratę.

Tak, wszyscy oni s po części ofiarami mody, właściwymi jednak jej męczennikami są robotnice w przemyśle konfekcyi damskiej.

Prawda, że nie wszędzie los ich jest równy, w krajach wysokiej kultury społecznej, uczyniono już wiele dla złagodzenia ich losu — nie mogąc jednak usunąć zupełnie przykrych warunków pracy, jakie przynosi ze sobą nieodzownie służba w orszaku tej kapryśnej pani.

Przypatrzmy się, jak na tle humanitarnych usiłowań postępowych mężów stanu i postępowego rządu przedstawiają się stosunki kobiet pracujących w paryskim przemyśle konfekcyjnym.

Przemysł podlegający modzie, nie ma normalnego przebiegu interesów i regularnego zajęcia. Stosuje on się do pór roku, i o tyle praca da się jako tako uregulować, ale nadto podlega niezliczonym przypadkom, a tyczy się to zwłaszcza konfekcyi zbytkownej, obliczoczonej na klientelę zamożną.

„Jak sobie poradzić“ — pyta jeden z właścicieli, największego mygazynu mód w Paryżu — „otrzymałem w poniedziałek depeszę z Chicago, z poleceniem dostarczenia sześciu sukien balowych, które w sobotę muszą już odejść okrętem do Chicago“.

Nie dziw, że w takich wypadkach musi on zatrzymywać robotnice przez ntc, nie mogąc przy najlepszych chęciach zastąpić je innemi mniej wprawnemi, a co najwyżej, dając im odpowiednie wynadgrodzenie.

Czy można jednak pieniędzmi wynagrodzić utratę zdrowia?

Los robotnic zależy zatem od klienteli i polepszyłby się, gdyby zleceń — najważniejszych i najintratniejszych nie dawano zwykle w ostatniej chwili. Cóż jednak wówczas stałoby się z kameleonowym charakterem mody! Gdyby to powstał nowy Jan Chrzciciel i rozpoczął skuteczną krucyatę przeciw tyranii i okrucieństwom mody! Zanim to jednak nastąpi w krajach społeczno-kulturnych, państwo wzięło na się obowiązek poskromienia najgorszych wybryków mody i usunięcia najdotkliwszych nadużyć.

W listopadzie 1892 wyszła w Paryżu ustawa, zabraniająca kobietom powyżej lat 18 pracować więcej niż 11 godzin dziennie, praca nocna zaś (od 9-tej wieczorem do 5-tej rano) jest dla kobiet wykluczona. Tylko w wyjątkowych wypadkach — oto furtka, którą znów wciska się tyrania mody — może za osobnem zezwoleniem władzy praca trwać 12 godzin, ale tylko przez 60 dni w roku i może nastąpić praca nocna, która jednak na 24 godzin wynosić może najwyżej 10 godzin.

Płaca robotnic francuzkich podlega ogromnym różnicom, zawisłym od wolności, od znaczenia przedsiębiorstwa i od sezonu. Przy „Rue de la Paix,“ gdzie są najznakomitsze magazyny konfekcyi damskiej, jedna trzecia część robotnic zarabia 5 franków dziennie, jedna trzecia mniej, jedna trzecia zaś więcej od tej średniej płacy. Sezon martwy trwa 14 tygodni, tak że przeciętnie robotnica średniej miary zarabia 1300—1400 franków rocznie.

Daleko mniej korzystne, są warunki w magazynach sprzedających gotową konfekcyę. Tu panuje jeszcze po większej części system sweating — polegający na tem, że pracę obejmuje wielka przedsiębiorczyni, która ją rozdziela między mniejsze, te znów między mniejsze, aż nareszcie praca z 3-ciej lub 4-ej ręki dostaje się do właściwej robotnicy. Ta ostatnia za pracę od 7-mej rano do 10-tej w nocy otrzymuje 1—$1^1/_2$ franka. W uwzględnieniu martwego sezonu dochód jej roczny wynosi 250—350 franków. U zwykłych krawczyń pracujących wprost dla klienteli, najwyższa płaca wynosi tylko 2 franki dziennie, czas pracy jest zupełnie nieuregulowany.

Najmniej płatną jest praca dla magazynów wyrabiających artykuły masowe. Robotnica otrzymuje po kilka sous od sztuki, musi jednak ponosić koszta maszyny, nici, igieł i t. d. Przeciętny jej dochód — za pracę nieograniczoną wynosi 300—400 fr. rocznie.

„Rajem robotnic“ nazywają w Paryżu modniarstwo. Nauka trwa 3 lata, poczem dziewczęta otrzymują 25—40 fr. miesięcznie i wikt.

Stosownie do zdolności, płaca podnosi się do 60, 100, 200 i 300 fr. miesięcznie. Najlepsze siły otrzymują nawet 500—600 fr. miesięcznie. Tu jednak nie płaci się robotę, lecz za pomysł nowy, za „ideę“, czyli za „kreacyę“. Są to tak zwane „królowe modystek“...

*(„Lwowski Przemysłowiec“.)*

## Myśli i aforyzmy o kobiecie.

Ze zbiorów ś. p. Romana Zmorskiego.

...Kobieta zawsze sama bywa temu winna, że mężczyzna śmie wypowiedzieć jej swoje uczucia, pociąga nie najładniejsza, lecz najwierniejsza...

*M-me de Genlis.*

...Kobiety są stalsze w nienawiści, aniżeli w miłości...

...Kobietom łatwiej jest poskromić żądzę, niżli kokieteryę...

*Larochefoucault.*

...Serce kobiety — to ciemna księga, choćbyś ją czytał i odczytywał w najrozmaitszych i najliczniejszych wydaniach, nie doczytasz się wszystkiego...

*Dostojewski.*

# Dział rolniczo-ekonomiczny.

## Marnotrawstwo w rolnictwie.

Jak chwasty rozsiadły się wśród uprawnych ról i łąk naszych, tak grzech marnotrawstwa rozplenił się wśród licznej rzeszy rolniczej i tak się zakorzenił, jakby już miał wywalczone prawo bytu.

A marnotrawstwo, toć przecie błąd ogromny, tak groźny, że nawet prawo wszystkich cywilizowanych ludów zwróciło nań uwagę i nad marnotrawcą ustanawia opiekę, odejmując mu możność rozrządzania własnym majątkiem. Mimo to, gdy ściśle wejrzymy, niemal w każdym domu rolnika, czy on słomą, czy papą, czy dachówką kryty, znajdziemy marnotrawstwo w mniejszym lub większym stopniu. Pojedyncze objawy marnotrawstwa są na pozór drobne, ale zespół ich, suma tych grzeszków i grzechów idzie w setki, tysiące a odnośnie do całego społeczeństwa w miliony marek.

Oddawna zwracano na to uwagę, lecz mało w tym kierunku się zmieniło, więc nie zaszkodzi przed oczy rolników rzucić przypomnienie, kiedy gdzie i w jaki sposób marnotrawcami oni zostają, czem sobie, rodzinom swym, gminom, do których należą, a na koniec całemu krajowi krzywdę czynią.

1. Każdy człowiek, który bez odpowiedniego przygotowania, bez potrzebnej nauki i praktyki bierze się do rolnictwa, jest nietylko partaczem, ale marnotrawcą dobra swego, swej rodziny, co ważniejsze dobra społecznego. Nieumiejętności dopomaga często lenistwo, wskutek czego marnieje niejedno, o czem niżej mówić będziemy.

2. Marnujemy warsztat rolniczy przez pozostawianie mnóstwa skrawków gruntu, miedz, przydróżków, podpłotków, rozgroży itp. bezpożytecznie, co dla jednego rolnika może niewiele stanowi, ale w gospodarstwie społecznem znaczną sumę wynosi.

3. Marnujemy warstat rolniczy przez niodpowiednią uprawę roli i przez orkę gliniastych gleb w czas mokry, przez pozbawienie gleb naturalnej wilgoci orką i innemi niepotrzebnemi robotami na wiosnę, niewykonywaniem podorywki ściernisk bezpośrednio po zbiorze itp. — marnujemy przez nieosuszanie mokrych łąk, przez nieoczyszczanie pastwisk itp.

4. Marnujemy nie tylko nasienie, ale marnujemy także i część mniejszą lub większą plonu przez zły siew, tak co do samego wykonania go jak i co do jakości nasienia. Za gęsty siew, siew nierówny, niejednostajne przykrycie ziarna, nieczyste ziarno siewne, za późny lub za wczesny siew wpływają na jakość i ilość plonów, kto więc błądzi w wykonaniu zasiewów jest marnotrawcą.

5. Marnujemy przez lenistwo lub skąpstwo, zaniechając odpowiedniej obróbki roślin podczas ich wzrostu, nie usuwając chwastów, i nie spulchniając jak należy ziemi. Nietylko, że żywimy niepotrzebne rośliny zamiast pożytecznych, ale zarazem samowolnie zmniejszamy ich plon.

6. Marnujemy przy zbiorze zboże, chwytając je zawcześnie, lub też przetrzymując za długo na pniu. Bardzo wiele marnuje się zboża przez nieostrożny zbiór, niedokładne złożenie w snopki, mendele lub półkopki, nieostrożną zwózkę do stodół i szop, a jeszcze więcej przez zbyt długie pozostawianie w kopach na polu, gdzie myszy tną, ptactwo niszczy tak, że i ze spodu i z wierzchu mało co zostanie.

7. Marnujemy w podobny sposób siano na łąkach, kosząc wtedy, gdy trawa już zdrzewnieje i straci swą odżywczą wartość, wskutek czego nietylko zmniejszamy pierwszy plon, ale także zmniejszamy ilość potrawu, który nie ma czasu wyrość odpowiednio. Przez zbyt długie trzymanie kopic siana w polu marnujemy je, narażając na podgnicie ze spodu i strupieszenie z wierzchu.

8, Marnujemy przez złą młockę, pozostawiając ziarno w słomie lub też przetrącając ziarna, marnujemy przez złe oczyszczanie ziarn, które czy to na nasienie, czy na sprzedaż przygotowujemy; o pierwszem mówiliśmy już pod punktem 4. Co do drugiego, to każdy wie, że dobrze oczyszczone ziarno lepiej się płaci, a różnica ceny wraz z pozostającym pośladem sowicie za robotę zapłacą.

9. Marnujemy plony przez łakome obrywanie liści z buraków i innych okopowizn w czasie, gdyż one tychże liści do swego rozrostu jeszcze potrzebują, przez nieostrożne wybieranie ich z gruntu, oraz nieodpowiednie oczyszczanie; wiele korzeni roślin okopowych lub głąbi przez skaleczenie ich łatwo ulega gniciu i nietylko same niszczeją, ale sprowadzają gnicie innych obok nich będących w przechowaniu.

10. Marnujemy zbiory przez niestaranne przechowanie ich przez zimę, wskutek czego ziarno często stęchnie, okopowizny gniją lub wyrastają, przez co zawsze na wartości tracą lub zgoła zniszczeją.

11. Marnujemy karmę — dając zwierzętom domowym zbyt wielkie dawki siana za drabiny. Siano ochuchane, obślinione pozostaje niezjedzone, założone zaś za rzadkie lub też połamane drabiny wypada pod nogi bydląt. Również marnujemy głąbie przez zadawanie ich w zbyt wielkiej ilości bydłu — czem narażamy się niejednokrotnie na straty w bydle.

12. Marnujemy siano, rozwożąc je po jarmarkach i pozwalając na roztrząsanie go bezmierne, marnujemy słomę tak paszną jak podściółkową, nie sprzątając jej należycie i wdeptując w błoto na obejściu, drogach itp.. gdzie bezpożytecznie marnieje.

13. Marnujemy gnój zwierząt domowych, nie urabiając go odpowiednio, czy to pod bydłem w stajni, czy też na gnojowni, dozwalając mu przepalać się albo też dopuszczając na wyługowanie przez wody opadowe.

14. Marnujemy gnojówkę, dozwalając jej odpływać na drogi lub do rowów, zamiast zatrzymywać ją w gnoju a nadmiar wywieźć na łąki.

15. Marnujemy odchody drobiu i ludzkie, nie zbierając ich, nie przerabiając odpowiednio i nie zużywając do zasilenia ogrodowizn itp.

16. Marnujemy gnój zwierzęcy przez nieodpowiednie obchodzenie się z nim w polu, wywożenie w kupki, lub też rozrzucanie go na zamarzniętą ziemię. albo na stokach ról, gdzie ulega wyługowaniu, zwietrzeniu lub zgoła spłukaniu, tracąc część lub i całość swej wartości nawozowej.

17. Marnujemy mnóstwo pieniędzy przez zakupno nieodpowiednich nawozów sztucznych, nie przekonawszy się sposobem prób, które z nich i w jakiej ilości najlepiej na naszej roli odpowiedzą i opłacą się.

18. Marnujemy przytem pieniądz, kupując nawet potrzebne i odpowiednie nawozy w niepewnych źródłach, u nierzetelnych handlarzy, nie biorąc przy zakupnie listów gwarancyjnych, a po zakupnie nie przesyłając próbek nawozów do rozbioru do stacyi doświadczalnej, celem wykorzystania zapewnionego listem odszkodowania.

(Dokończenie nastąpi.)

# Dodatek Humorystyczny.

## Dwa osły.

Raz w górach moją narzeczonę,
Osiełek zrzucił psotny, —
Podniosłem dziewczę zapłonione...
Mój klejnot! skarb stokrotny!

Lecz dziś w małżeńskich uciech niebie
Uparta myśl mnie ściga:
Mały ją osieł zrzucił z siebie,
A wielki — dotąd dźwiga!

## *Zmiana rodzajowania.*

X. usłał sobie dolę gładką:
Żona została adwokatką,
Najstarsza córka jest dentystką.
Średnia mędrczynią co wie wszystko,
Następna — filozofka znana,
Najmłodsza doszła już do miana
Rozgłośnej w mieście chirurgini,
Co operacye trudne czyni.
Publiczność by też wiedzieć chciała,
Co pan X wśród tych niewiast działa?
Oto przypasał fartuch, zaczem
Został przy kuchni pomywaczem.

## Aforyzmy Poznańczyka.

Od czasu ułożenia w mieście gładkich chodników, ludzie się coraz częściej potykają.

W teatrach lasy i zarośla bywają malowane a pomimo to niejedna z kobiet z chwilą wejścia na scenę... błądzi!

W dzisiejszych ciężkich czasach znacznie więcej ludzi zgrzytałoby zębami, gdyby je miało prawdziwe.

## Myśl.

Mężczyzna jest z natury mocny i zwy-
[cięski,
Mądrość, siła, energia — to jego zaleta!
Wszystko bajka wierutna! Bo każdy
[z płci mezkiej
Jest tem tylko... co z niego uczyni
[kobieta.

### Notatki mego pra- pra- pra- dziadka.

Wieczór onegdajszy należał do najprzykrzejszych w mojem życiu.

Powróciłem do domu z czołem uznojonem pracą całodzienną; nadto w moim pugilaresie panowała czczość i pustka, przypominająca ciszę morską.

Żona powitała mnie słowami:

— Cieszę się, że cię oglądam w zdrowiu. Zygmuś właśnie podarł buty i nie ma w czem iść jutro do szkoły.

Odrzekłem:

— Nie mam pieniędzy, — na co ze swojej strony rzekła ona:

— Proszę cię też o pieniądze na węgle, na zaległe zasługi służącej, komorne zaległe za dwa miesiące...

— Zdaje mi się, że miesiąc temu dałem ci 300 marek w gotowiźnie?

Odpowiedziała mi żona:

Teraz jest straszna drożyzna: bułki chleb, mięso, węgle komorne, wszystko, wszystko zdrożało!

Zmaltretowany i zbolały moralnie, zamknąłem się w moim pokoju. Szukając czegoś bezwiednie, w jednej z szuflad biurka natrafiłem na zwitek niesłychanie pożółkłych papierów. Na okładce wyczytałem napis tytułowy: „Pamiętniki mieszkańca miasta Starego Poznania Dominika..... A. D. 15...“

— O mój przodku! zawołałem z westchnieniem — żyłeś w epoce o wiele szczęśliwszej Za twoich czasów życie było tańsze i lżejsze...

I zacząłem odczytywać jak następuje:

„Die 17 mensis X bris. Jako czas nastąpił chłodny, posłałem sługę po drwa do lasa do Dębiny. Za drwa się nie płaci a jeno sługę z onemi powracającą, wilcy uchapili i pożarli.

Die 20. Zeszli się goście na obchód chrzcin mojego Jaśka. W święto takowe. godzi się mięsiwa na stole postawić. Chwała Bogu nie żyjemy w kraju takim aby za rzecz takową trza było płacić Pojechałem kałamaszką na łąki domini kańskie i tam upatrzyłem pasącego się wołu conajtłuściejszego, który na postronku uwiązanego do dom wiodłem. Aliści bestya w nieprzystojny furor wpadłszy, kałamaszkę mi rogami rozbiła. konia przebodła a mojej personie zasię żeber in numero troje złamała, takoż nosa złamania dokonała, zaczem zbiegła

Die 25. Moja ci białogłowa wielkie pranie chust na dzisiaj mając, co pracowitsze służebnice zezwała i z onemi, chusty do rzeki poniosła. U nas ci zamorskim obyczajem za pieranie nie płaci się, mydeł nie znamy a wszystko przypada bez wydatku, zgoła za darmo. A gdy czynności miały się ku końcowi z za rzeki i z głębi boru wypadły rozmaite dzikie nacye jako Tatarzyny i Turczyny, niewiasty zgromiły i w jassyr zabrały wraz z chustami. Za moją jejmość srogi wykup dałem, służebnice zasię zaginęły bez śladu.

Die 3 XI bris. Słyszałem u Walentego proroka za Śródką ubiculum mającego, jako przyjdzie czas, iż mieszczanie Poznania za wodę płacić będą i wtedy nastąpi świata tego koniec. My tu wody warcianej mamy bez żadnej opłaty i kosztów do syta. Wczoraj Warta wezbrawszy dom mi po kominy zalała, przyczem inwentarz żywy i statki wszelakie do morza popłynęły.

Die 9. Nie można contra temu rzec, poszczęściło nam się córę pierworodną wydać za mąż bez żadnych expensów na wiano, jako bławatnik Wołoszyn z onemi towary zamorskiemi: kałamayki, brokatele etc na podwórzec zajechał i od morowej zarazy żywota dokonał. W ciągu niedziel dwóch pewna część M. S. Poznania wyludniła się, ludzi siła pomarła, a gdy już ostatnie beczki smolne contra zarazie poprzygasały, odbyło się córki naszej wesele. Ów Wołoszyn familii niemiał, a przetoż towary drogie na wiano dziewce onej szczęśliwej przeznaczone zostały“.

Nie chciałem krwawić sobie serca wczytywaniem się w dalszy ciąg pamiętników szczęśliwego człowieka z epoki bezwzględnego spokoju, dostatków i wielce ułatwionych środków istnienia.

Ludzie płytko patrzący na rzeczy, gotowi przytoczone ustępy z pamiętnika poddać pod skalpel krytyczny. Ludzie tego rodzaju ośmielą się prawdopodobnie występować z twierdzeniami, iż w owych czasach wielkiej taniości produktów, istniały wszakże pewnego rodzaju trudności przy zgromadzaniu potrzeb życiowych.

Niesmaczne i płytkie nad wyraz poglądy w tym sensie, zasługują jednakże na pogardliwe pominięcie milczeniem.

Z tego też powodu utrzymywać nie przestanę, iż przodek mój Dominik, (przy strącaniu dzikich jabłek spadł z drzewa, za którem był zaczajony niedźwiedź, który niezwłocznie poszarpał go na szmaty) był świadkiem wydarzeń i zwyczajów, za któremi powinni tęsknić wszyscy, zalegający dzisiaj z opłatą za zużyty gaz, wodę wodociągową, komorne, raty asekuracyjne i inne niemniej zuchwale wymyślone pomysły ludzi, dybiących na nasz sen i spokój domowy. *fr.*

# Dział powieściowy.

## SPIEWACZKA ŁUDOWA.

### Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

25)

(Ciąg dalszy.)

O północy poszedł więc do dworskiej kaplicy, gdzie się zawsze z Salką spotykał. Tutaj nikt im nie przeszkadzał, tutaj mogli swobodnie mówić o swej miłości i układać plany na przyszłość, mogli przysięgać wierność i znów następnej nocy się spotkać. Była to miłość gorąca, szczera, a czysta i niewinna!

Ale dziś płynęły tu łzy rzęsiste! Jan mówił, że z polecenia księcia musi się udać w podróż daleką i niebezpieczną, o koronie nic jednak nie wspomniał! Przysięgał jej tylko wierność do śmierci i niezmienną miłość. Oczy Salki błysnęły żywiej. Szybko otarła łzy, i rzekła stanowczo:

— Przysięgam ci, Janie, że pójdę wszędzie z tobą! Że cię nigdy, nigdy nie opuszczę!

Jan ucałował ją gorąco za te słowa, sądząc, że ona myślą zawsze przy nim będzie. Potem szepnął jej jeszcze kilka serdecznych i czułych słów, i kochankowie rozstali się.

Nazajutrz rano puścił się Jan z całym swoim orszakiem w drogę.

Ale zaledwie wyjechali wszyscy za bramę miasta, gdy nagle dał się za nim słyszeć dźwięczny jakiś głos:

— Szlachetny panie, nie potrzebujecie giermka do usługi?

Jan obrócił się żywo i ujrzał młodego, mniej więcej szesnastoletniego chłopca, ubogo, lecz porządnie ubranego i postanowił zabrać go z sobą. Przyszło mu bowiem w tejże chwili na myśl, że zapomniał o giermku dla siebie.

— Chcesz opuścić miasto? — zapytał

— Tak!

— Dlaczego?

— Ach panie, nie mam ani ojca, ani matki, jestem sam na świecie i chcę poszukać szczęścia w świecie. Zabierzcie mnie z sobą, panie, ja wam będę służył wiernie i wypełnię każdy wasz rozkaz!

— Jak ci imię?

— Andrzej!

— Dobrze! Wsiądź na jednego z jucznych koni, i jedź z nami! Twoja twarz i twój głos dziwnie mi kogoś przypominają, ale nie wiem kogo!

Chłopiec szybko wskoczył na konia i jechał za swoim panem, tak, jak gdyby mu już oddawna służył. I Jan był niezmiernie zadowolonym z swego giermka, uważniejszego i wierniejszego sługi nie byłby nigdy znalazł.

Żadna robota nie była chłopcu za ciężka, starał on się i o konie, i o pana. Nie brał nic do ust pierwej, zanim nie dał koniom owsa i wody, a ubranie pana utrzymywał w wzorowym porządku. Pilnował też gorliwie miechów, zawierających zboże i złoto, Jan zaś był przekonanym, że o złocie nikt nie wiedział.

Po dosyć uciążliwej, sześciotygodniowej podróży, stanął orszak na ziemi włoskiej.

Jan rozkoszował się urokiem tutejszej wiosny, upajał się wonią róż i fiołków i myślał nieustannie o swej ukochanej Salce.

Giermek Andrzej nie odstępował go ani na krok. Jeździł i chodził za nim wszędzie jak jego cień i Jan tak się do usług jego przyzwyczaił, że nie mógł się rzeczywiście ani chwili bez niego obejść.

I tak przybyli do Rzymu. Jan wynajął tu cały dom, umieścił wory z zbożem i złotem w sklepach, odesłał służbę do domu i tylko Andrzeja zatrzymał.

Teraz chodziło głównie o audjencję u Ojca świętego. I wystarał się o nią, a Ojciec święty przyjął go nader łaskawie i zgodził się chętnie na prośbę Przemysława. Był on bardzo przychylny Polakom i stawił tylko kilka małoznaczących warunków, które Jan natychmiast wypełnił.

Polecono też zaraz nuncyuszowi spisanie odnośnego dokumentu, na mocy którego Papież mianował księcia Przemysława królem polskim i dokument ten wręczono Janowi.

Wówczas taką mieli Papieże władzę, że dawali korony królom i odbierali je, gdy królowie na nie już nie zasługiwali. Jan był niezmiernie ucieszony, że tak łatwo i prędko zdołał wszystko załatwić, nic go już teraz nie wstrzymywało od powrotu do ojczyzny i do ukochanej Salki. Nie wątpił ani na chwilę, że Przemysław, jako opiekun Salki, odda mu ją za żonę.

Pozostawała tylko jeszcze korona królewska do zamówienia, ale Jan sądził, że przygotowanie jej długo trwać nie może i żadnych mu nie sprawi trudności. Posiadał przecież to, co było najpotrzebniejszem to jest złoto — postanowił więc nie targować się o nic, byle złotnik wykończył jak najprędzej swoją pracę.

Poszedł tego samego dnia jeszcze do sławnego Pietra Rosetti, mieszkającego blizko jego domu, lecz nie zastał go w składzie. Znajomi natomiast powiedzieli mu, że Rosetti jest tak zasypany zamówieniami, że nowej roboty już nie przyjmuje, a nadto stał się bardzo nieprzystępnym i podejrzliwym względem obcych, co ztąd może wynika, że go często oszukano i wyzyskano, mianowicie w ostatnich czasach. Z tem wszystkiem miał być bardzo chciwy i żądny złota.

— Jeżeli jest chciwy, — pomyślał Jan, — to właśnie dobrze, mam pieniędzy dosyć, aby chciwość jego wzbudzić i zaspokoić!

Że zaś nie miał już powodu tajenia swego posłannictwa i stanu, przeto ubrał się w swój świetny strój rycerski i poszedł po raz drugi do mistrza — złotnika!

Dom Piotra Rosetti leżał samotny nad Tybrem, a był tak mały i niepozorny, że nikt nie byłby przypuszczał, aby w nim mieszkał taki właśnie sławny, jak on, artysta. Tylko okna, zaopatrzone w mocną żelazną kratę zdradzały, że się wewnątrz znajdowały skarby, których należało pilnie strzedz przed złodziejami i rozbójnikami. Wszyscy też wiedzieli, że stary złotnik nigdy jeszcze nie był napadniętym przez złodzieji lub bandytów, pomimo, że przechowywał w swoim domu ogromną ilość drogich kamieni i złota.

Niejeden może dziwił się, że Rosetti mieszkał tak samotnie nad rzeką, zamiast mieszkać w środku miasta, gdzie jednak bezpieczniejszym był przed napaścią złoczyńców.

Ale Rosetti był wielkim dziwakiem.

Co raz postanowił, to wykonać musiał, dla tego sądzono ogólnie, że to samotne mieszkanie jest jednem z jego dziwactw i nie troszczono się o to.

Młodzi panowie twierdzili, że on inny ma jeszcze powód szukania samotności, że w domu swoim ukrywa skarb, który o wiele jest kosztowniejszym, niż złoto i brylanty, i że skarbowi temu grozi w mieście większe niebezpieczeństwo, niż tutaj, gdzie go nikt nie widuje.

Skarbem tym miała być prześliczna Aniela, młodziutka siostrzenica złotnika.

Niewiele osób widziało ją wprawdzie, ale ci, którzy ją widzieli, nie mogli się dosyć naopowiadać o jej piękności, o jej wielkich czarnych oczach, o bujnych włosach i słodkich czerwonych ustach, jak gdyby stworzonych do pocałunków. O tem wszystkiem Jan nic nie wiedział.

I szedł teraz spokojny, nie przeczuwając, co go czeka, i zapukał do drzwi małego domku.

Gdy był tu pierwszym razem, nikt mu nie otworzył, teraz jednak stanęła na progu młoda dziewczyna, tak cudownie piękna, że Janowi zdawało się, że nigdy jeszcze podobnej nie widział.

— Chciałbym widzieć Piotra Rosetti — rzekł, onieśmielony, — przychodzę tu z pewnem poleceniem....

— Wuj jest zajęty — odpowiedziała piękna dziewczyna, — ale ja mu powiem, że przyszliście do niego — może być, że was przyjmie!

Rozmowa jej z wujem trwała dosyć długo. Janowi zdawało się nawet, że słyszy jakąś sprzeczkę. Rosetti widocznie przyjąć go nie chciał, Aniela zaś starała się nakłonić go do tego.

I w końcu przyszła z oznajmieniem, że wuj prosi go do siebie.

Jan poszedł do pokoju mistrza!

Rosetti był starym, nieco przygarbionym mężczyzną; biała, krótko przystrzyżona broda otaczała jego twarz żółtą, zwiędłą i pomarszczoną, a ciemne i małe oczy patrzały przenikliwie na wszystko i na wszystkich.

Artysta siedział na nizkim stołku i kończył właśnie jakiś bardzo kosztowny puhar.

Jan nie byłby nigdy przypuszczał, że ten człowiek jest mistrzem, znanym w całym ówczesnym świecie. Wyglądał on raczej na starego lichwiarza, obliczającego swoje zyski.

Od pierwszej chwili powziął Jan do niego głęboki wstręt, zdawało mu się, że go coś odpycha od tego człowieka! Ale zapanował natychmiast nad swojem uczuciem, zarzucając sobie takie uprzedzenie względem tak sławnej osobistości i poprosił złotnika, który wcale nawet nie wstał na jego powitanie, o rozmowę w cztery oczy.

— To, co mi macie do powiedzenia — odrzekł mistrz nie bardzo uprzejmie — możecie powiedzieć w obecności mej siostrzenicy Anieli, ja wobec niej nie mam żadnych tajemnic!

Jana ucieszyły te słowa. Mógł się przynajmniej wpatrywać w prześliczną twarz dziewczęcia! Nie przeniewierzał on się wprawdzie ani na chwilę Salce, ale myślał, że przecież mu wolno podziwiać piękność Anieli, tak, jak podziwiał piękne obrazy w kościołach rzymskich.

— Macie dla mnie jakie polecenie? — zapytał Rosetti.

—Tak!

— Więc mówcie prędko, bo ja czasu wiele nie mam! Ale to wam zaraz powiadam, że wszelką robotę, jeżeli ją przyjmę, nie mogę ukończyć przed dwoma latami. Mam, jak widzicie mnóstwo poleceń, a jestem stary i słaby i nie mogę już tak szybko pracować, jak dawniej. Na czeladników zaś spuszczać się nie mogę, bo oni się na lepszej robocie nie znają!

— Ale są zlecenia, — rzekł Jan, — dla których warto inne odłożyć prace!

— Nie będzie to tam coś tak nadzwyczajnego — zawołał Rosetti, — może jaki krzyżyk lub serduszko dla waszej narzeczonej, albo puhar dla przyjaciela! Idźcie do innego złotnika w mieście, każdy zrobi wam zaraz taką drobnostkę i nie weźmie tyle, co ja, zapłaty.

Jan musiał panować nad sobą, aby nie wybuchnąć gniewem wobec takiego lekceważenia.

— Mylicie się, mistrzu, — rzekł, — nie chodzi tu bynajmniej o jaką drobnostkę, ale macie słuszność — mogę iść do innego złotnika! Każdy zrobi mi koronę dla nowego króla polskiego.

I Jan ukłonił się, i szedł spokojnie ku drzwiom.

Ale teraz zerwał się Rosetti z ławki i jednym skokiem stanął obok Jana.

— Więc to chodzi o koronę królewską! — zawołał. — W takim razie zostańcie, szlachetny rycerzu, rozmówimy się zaraz... Ha ha, czy myślicie, że inny złotnik potrafiłby zrobić koronę królewską? Żaden tu nie umie prostego kamyszka oprawić, ja sam tylko jestem godny wykuć ze złota koronę dla panującego!

— Wiem o tem, — rzekł Jan niechętnie, — ale byliście niegrzeczni dla mnie...

— Doprawdy? Ach, jestem starym, i nie wiem czasem, co mówię! Anielo, przynieś dzban wina dla gościa i ubierz się ładnie — weź najlepszą suknię, rozumiesz! idźże po wino!

— O wino proszę, — zawołał Jan, — ale błagam was, zostańcie w tej sukni, nie bierzcie piękniejszej, bo urodziwiej w żadnej już wyglądać nie możecie.

Aniela spojrzała z zachwycającym uśmiechem na Jana i wyszła.

Teraz zaczął złotnik umawiać się o cenę korony.

— O pieniądze nie chodzi mi wcale, — odrzekł Jan, — starajcie się tylko o to, aby korona była arcydziełem pod każdym względem. Bierzcie tyle złota i drogich kamieni, ile chcecie, nie szczędźcie niczego, zapłacę wam każdą sumę, i jeżeli sobie życzycie, to mogę wam zaraz przynieść kilka worków złota!

— Nie potrzebuję zaliczki. — odpowiedział Rosetti dumnie, — mam tyle, ile mi potrzeba! Na kiedy ma korona być gotową?

— Daję wam cztery tygodnie czasu, potem korona powinna być skończona, bo muszę wracać do domu. Mój pan, król Przemysław oczekuje mnie z największą niecierpliwością.

— Cztery tygodnie — to za mało na stworzenie arcydzieła, ale będę pracował dniem i nocą, aby życzeniu waszemu zadość uczynić. Wypłacicie mi należytość złotem, nieprawdaż?

— Złotem, — powtórzył Jan.

Teraz wróciła Aniela z winem i podała pełen kubek Janowi, który wypił na raz, patrząc z zachwytem w oczy pięknej dziewczyny.

— Będziecie częściej musieli tu przychodzić szlachetny rycerzu, — odezwał się znowu Rosetti, aby patrzeć, jak robota postępuje. O każdym czasie będziecie nam miłym i pożądanym gościem!

— O każdym czasie, — dodała Aniela.

Jan pożegnał złotnika i Anielę i odszedł.

Wracał on do domu zupełnie z innemi uczuciami — o ile mu się Pietro w pierwszej chwili nie podobał, o tyle był teraz zadowolonym z swojej u niego bytności. Czy wino było za mocne, czy oczy pięknej Anieli zbyt słodko na niego patrzały, dosyć, że czuł zawrot w głowie — krew żywiej krążyła mu w żyłach, czoło ogniem płonęło, a gdy chciał myśleć o Salce, stawała mu przed oczami Aniela!

Ale gdy zobaczył swego wiernego Andrzeja, który ujrzawszy go z daleka, biegł mu już naprzeciwko, aby odebrać ciężką szablę, wtedy znikł czar, i Salka ukochana wróciła do swych praw. Szalona tęsknota za nią i za ojczyzną ogarnęła jego serce i po raz pierwszy czuł żal do króla o to, że jego właśnie wysłał po tę koronę! —

Nazajutrz jednak poszedł znów do złotnika.

Wmawiał w siebie, że musi się z nim jeszcze naradzić nad ważnemi sprawami, tyczącemi korony i że musi zobaczyć rysunek jej.

Ale w rzeczywistości chodziło mu o to, aby ujrzeć Anielę!

Chodził więc tam codziennie, a złotnik przyjmował go bardzo uprzejmie. Codziennie wpatrywał się z większym zapałem w czarne oczy Anieli, obraz zaś Salki bladł i znikał z jego serca. I już zaczęła się w nim budzić namiętna miłość do pięknej Włoszki — i szalona żądza posiadania jej wzajemności!

Każda jego bytność w domu złotnika stawała się coraz to dłuższą, przychodził rychlej i odchodził później tak, że nie trwało długo, a siedział tam cały dzień! I gdy późno w noc wracał do domu, nie widział smutnego spojrzenia Andrzeja, i nie słyszał ciężkich jego westchnień. —

A w nieobecności jego siedział wierny giermek sam w swojej komnatce i gorzkiemi zalewał się łzami.

Raz ujrzał go Jan płaczącego.

— Co ci jest? — zapytał.

— Tęskno mi za ojczyzną! — brzmiała odpowiedź.

Tymczasem minęły owe wyznaczone cztery tygodnie i korona prawie była wykończoną.

Było to prawdziwe arcydzieło; złotnik dotrzymał słowa, i nie szczędził ani złota, ani brylantów, ani innych drogich kamieni. Nie było tylko jeszcze zakończenia całości, krzyża u góry.

— Nie wiem doprawdy, jakich do tego użyć kamieni, — rzekł razu pewnego Rozetti do Jana. — Brylantów już tu dosyć — chyba czarne brylanty byłyby odpowiednie. Odbijałoby to nawet bardzo dobrze od kamieni kolorowych! Ale w takim razie musiałbym wyjechać na kilka dni! Ja bowiem nie mam czarnych brylantów, znam jednak pewną hrabinę, która ma ich kilkanaście, odkupię je więc od niej. Zapłacę ile zażąda i zbuduję krzyż, jakim się żadna w świecie korona poszczycić nie będzie mogła!

Złotnik wyjechał, a przez czas jego nieobecności wracał Jan tylko na kilka godzin dziennie do domu, przebywając nieustannie przy uroczej Anieli.

Nareszcie wrócił Rosetti i przywiózł siedemnaście czarnych brylantów, a były to kamienie tak rzadkiej piękności, jakich nikt nie miał i nie widział. Krzyż na koronie był rzeczywiście czemś nadzwyczajnem, nawet sam Rosetti zachwycał się swojem dziełem.

Potem umówili się obydwaj, w jaki sposób ma nastąpić wydanie i zapłacenie korony. Miało to być tajemnicą,

bo Rosetti twierdził, że w Rzymie wiele się znajduje rozbójników, a gdyby się o takim dowiedzieli skarbie, to staraliby się albo o pieniądze, albo o koronę, albo o jedno i drugie.

— Trzeba nam się inaczej urządzić, — mówił Rosetti. — Znam ja w górach sabińskich pewną karczmę — będę tam na was o północy czekał, a wy, przebrani za kupca, przywieziecie mi worki ze złotem. Skoro tylko worki zostaną zładowane, oddam wam koronę.

— Dobrze, — odrzekł Jan, — ja się też zaraz urządzę tak, że ztamtąd wyjadę do domu, nie wracając już do Rzymu.

Obraz pięknej Anieli zaczynał już nieco blednąc w sercu Jana, i żałował teraz nawet bardzo, że się nią tak długo zajmował. Uważał to za zdradę względem Salki, to też przyrzekł sobie uroczyście, że tem lepszym i więcej kochającym będzie dla niej mężem.

Złotnik opisał mu raz jeszcze dokładnie położenie karczmy, raz jeszcze powtórzył mu, że o północy tam na niego czekać będzie i Jan odszedł do domu, aby wszystko do spiesznego przygotować powrotu.

Przedewszystkiem wynajął dwa wielkie wozy, konie jego zaś stały jeszcze w stajni, i gdy się ściemniło, naładował z pomocą Andrzeja worki ze złotem na wozy i obydwaj razem udali się w góry.

Wiedział on, że chłopiec go nie zawiedzie, i że zawsze i wszędzie może liczyć na niego jak na samego siebie.

Po zachodzie słońca było wszystko gotowe. Wierzchowe konie szły luźno przy wozach, i tak wybrał się Jan z Andrzejem do owej karczmy, w której też stanął punktualnie na czas oznaczony.

Karczma owa był to mały, nędzny domek — w jednem oknie tylko świeciła się lampka.

W chwili, w której wozy stanęły na miejscu, otworzyły się drzwi chaty i Pietro Rosetti stanął na progu z latarnią w ręku.

— Wjeżdżajcie do stodoły, — rzekł, — zboże pewnie jest dobre.

— O tak, — odpowiedział Jan, — zboże jest dobre, ale ja żądam najpierw zapłaty za nie.

Były to umówione słowa, po których się obydwaj w ciemności poznać mieli.

— Wszystko w porządku, — zawołał teraz Rosetti. — Wjeżdżajcie na podwórze!

Jan i Andrzej zwrócili wozy przed małą, na wpół zapadłą stodółką i zaraz też poznosili worki z wozów.

Rosetti stał przytem i liczył worki, a oczy jego szatańską błyszczały chciwością. Andrzejowi nie podobał on się wcale — młody chłopiec patrzał na niego z widoczną nieufnością i raz po raz sięgał do pasa, aby się przekonać, czy mu sztylet nie wypadł.

Złotnik tymczasem wręczył Janowi ogromne puzdro skórzane, bardzo ciężkie i okute srebrem. Jan otworzył je, obejrzał koronę, i zamknął znowu. Przy tej sposobności ujrzał Andrzej, który oka z swego pana nie spuszczał, blask kamieni i złota w puzdrze, ale nie mógł odgadnąć, co by to być mogło!

— Żegnam was, Pietro Rosetti, — rzekł teraz Jan, — wracam do mojej ojczyzny. Zadanie moje spełnione, i mam nadzieję, że nie doznam żadnych trudności..... Żegnam was i dziękuję raz jeszcze za to arcydzieło rąk waszych!

Złotnik zbliżył się do Jana i szepnął cicho:

— Nie chcecie pożegnać Anieli? Ona czeka na was tu — w tym domu.

Gdy Andrzej to usłyszał, zadrżał, i już otwierał usta, aby prosić Jana o odmowną odpowiedź, ale zapóźno.

Jan trzymając puzdro wbiegł do karczmy, wołając:

— Czekaj tu na mnie, Andrzeju, odwiąż konie, niech stoją w pogotowiu! Ja zaraz wrócę!

— Tak, twój pan zaraz wróci, — powtórzył złotnik złośliwie, tak się przynajmniej Andrzejowi zdawało.

Drzwi zamknęły się za Janem i złotnikiem i chłopiec został sam.

Odwiązał on najpierw konie, poprawił siodła, ale spojrzenia jego biegły ciągle ku oknom karczmy, tam, gdzie błyszczało światło!

Jan nie wracał, i straszny niepokój ogarnął Salkę.

Andrzejem nikt bowiem inny nie był, jak owa dzielna, odważna dziewczyna, która w przebraniu górnika towarzyszyła ukochanemu do Włoch, aby w tej długiej i niebezpiecznej podróży być zawsze obok niego i bronić go w potrzebie. Umiała zaś tak dobrze zmienić twarz swoją, że nawet Jan jej nie poznał.

Nie byłaby się ona za nic w świecie rozstała z Janem, i wolała znieść wiele niedogodności podróży, niż rozłączyć się z nim na tak długo. I wytrwała mężnie przy ukochanym, pomimo, iż podróż ta wielkiem dla niej stała się rozczarowaniem. Przekonała się bowiem, że Jan pokochał inną, i zdradził jej miłość i zaufanie.

Z początku wierzyć w to nie chciała, ale potem nie mogła już wątpić. Czarne oczy Anieli zdobyły sobie jego serce. — Jan o niczem innem nie myślał, tylko o tej prześlicznej Włoszce.

I na wspomnienie swego smutnego losu i swej zdradzonej miłości, oparła Salka głowę o siodło konia i gorzko płakać zaczęła. Ale kochające serce zawsze gotowe do wybaczenia.

— On jednak moim będzie — myślała — wszakże on sam postanowił wracać do domu, a skoro będziemy znowu w naszej ukochanej Polsce, na dworze Przemysława, to on zapomni o tej pięknej Włoszce. Wtedy zostanę żoną jego i powiem mu, że Andrzejem ja byłam! Moja wierność wzruszy go i pokocha mnie znowu tak, jak kochał dawniej. Ale co może się znajdować w owem pudle? Po co Jan jeździł wogóle do Rzymu?

Salka bowiem nic nie wiedziała o tem, że Przemysław posłał Jana do Ojca świętego i po koronę. Wiedziała tylko tyle, że chodziło tu o jakąś tajną missją i to jej wystarczało.

Kary rumak Jana uderzał niecierpliwie kopytami o ziemię, a i siwek Salki zaczynał się niepokoić. Przy siodłach przywiązane były tobołki z żywnością i sztylety. Obydwa konie były silne i wytrzymałe, można im się było bezpiecznie powierzyć.

Salka obejrzała się po podwórzu. Wysoki mur otaczał je wokoło, jedynem wejściem tylko była brama, którą przyjechali. Ale Rosetti zamknął ją znowu i zabrał klucz do siebie, gdy szedł za Janem do karczmy.

Cała ta chata niezmiernie przykre na Salce wywierała wrażenie. Wszystko było tu zniszczone, brudne, a co najgorsze, tak odosobnione od świata i ludzi! Przecież musiał tu ktoś mieszkać, karczmarz lub karczmarka — gdzież oni byli? Gdzie goście, którzy zwykle przecież na noc do takiej gospody zajeżdżają?

I Salka pomyślała sobie, że będzie bardzo szczęśliwą, gdy raz już będzie miała i gospodę, i Rzym i całe Włochy po za sobą. Nie podobało jej się tu wcale, ludzie wyglądali jak zbójcy...

Ale cóż to?

Tam, za oknem, w którem błyszczało światło, dały się nagle słyszeć głosy — ktoś krzyczał — ah, zapewne sprzeczka jakaś pomiędzy Janem i złotnikiem — potem rzucił ktoś krzesło albo ławkę na ziemię — szybkie kroki zbliżały się ku drzwiom.

A teraz —

Ach, teraz dał się słyszeć przerażający krzyk — tak krzyczy tylko człowiek, gdy chodzi o życie.

Salka zbladła jak ściana, poznała bowiem głos Jana.

W następnej chwili wyciągnęła sztylet z za pasa i rzuciła się ku drzwiom, ale — zamknięte! — I siły dziewczęcia nie wystarczały, aby otworzyć przemocą ciężkie, dębowe drzwi.

— Pomocy! ratunku! — krzyczał Jan. — Pomocy! Zdrada, zdrada! Złowiłeś mnie w sidła nędzniku! Przemocą chcesz mi odebrać to, za co miechami złota zapłaciłem! Ale wolę umrzeć niż.... ah, ty żmijo jadowita, umieraj!

Głuchy łoskot towarzyszył tym słowom, potem rozległ się straszny krzyk złotnika.

— Aniela! Aniela! Zabiłeś mi Anielę, przeklęty morderco, idź do piekła...

— On zabił Anielę — zawołała Salka uszczęśliwiona — teraz znikły wszystkie moje troski! Jan mnie kocha! I mnie kochać będzie! Nie ma już Anieli!

Walka w karczmie zawsze jeszcze trwała, a Salka rozpaczała teraz, że ukochanemu pomódz nie może.

Jak szalona biegała w około domu, szukając jakiego wejścia, ale nawet obydwa okna, któremi wskoczyć do wnętrza zamierzała, miały mocną, gęstą kratę żelazną.

I kraty tej wyłamać nie mogła!

Krzyczała o pomoc, ale któż ją tutaj mógł usłyszeć! Nie było tu szeroko i daleko żadnej żyjącej istoty! Chyba rozbójnicy, będący w zmowie z nędznym złotnikiem!

Nagle otworzyło się okno na górze i Jan wyskoczył przez nie. trzymając pudło w rękach.

Salka rzuciła się ku niemu.

— Weź to — szepnął Jan, podając jej swój skarb, — weź — zawieź Przemysławowi — i powiedz mu — że — koronę jego — okupiłem — życiem, bo jestem otruty —

— Tak! — krzyknął złotnik, wychylając się oknem,— jesteś otruty. Umrzesz wnet, szatanie w ludzkiej postaci, umrzesz w okropnych mękach, a ja żałuję, że na to patrzeć nie będę! Przeklinam cię za śmierć Anieli — mej żony — mego skarbu najdroższego!

Jego żony!

Salka domyśliła się teraz prawdy!

Piękna Aniela była żoną starego złotnika, który dla niej tylko zbierał pieniądze i nie zawahał się nawet przed popełnieniem zbrodni. Aniela zaś umyślnie starała się zwabić młodego rycerza, aby z tem większą pewnością wpadł w zastawione sidła.

— Na koń, — zawołał Jan, — uciekajmy ztąd! Potem opowiem ci wszystko, mój wierny Andrzeju!

Nie przeczuwał on jeszcze wcale, kto był Andrzejem!

Salka pomogła mu wsiąść na konia, przywiązała pudło z koroną mocno do siodła, i wskoczyła również na swego siwka, ale jakim sposobem mieli wyjechać z tego podworza?

Wszakże brama była zamknięta!

Salce zdawało się, że słyszy w dali szelest zbliżających się ludzi, a mogli to tylko być rozbójnicy, stojący w styczności z starym złotnikiem.

— Panie, — zawołała, — nie pozostaje nam nic innego, jak to, że musimy przez mur przeskoczyć. Dalej — Bóg nam nie odmówi swej pomocy!

I chcąc dać dobry przykład, spięła ostrogami swego siwka i jak strzała przeskoczyła mur. Jan zebrał wszystkie siły, i.... koń jego przeskoczył wprawdzie także mur, ale upadł zaraz i złamał przednie nogi.

Janowi na szczęście nic się nie stało, ale patrzał z rozpaczą na swego rumaka, nie wiedząc, w jaki sposób uciekać dalej.

I znów uratowała go Salka.

— Wsiądźcie za mnie, panie mój, — rzekła, — siwek uniesie nas oboje! Bylebyśmy się do lasu dostali, tam już nam takie nie grozi niebezpieczeństwo jak tutaj!

I rzeczywiście, wierny siwek, jak gdyby przeczuł, że chodzi o życie, pędził, ile mu sił starczyło. Gdy nareszcie



W tem pudle, — dodał, wskazując na szkatułkę skórzaną, przywiązaną do siodła siwka, — znajduje się korona, przeznaczona dla króla Przemysława.

dobiegli do lasu i ukryli się wśród niedostępnych skał, zwolniła Salka biegu i wnet zupełnie konia zatrzymała.

Jan ledwie się trzymał na siodle.

Salka zsunęła się z konia i podała Janowi obiedwie ręce.

— Zejdźcie, panie, — rzekła, — tutaj możemy wypocząć.

Ale Jan był już tak słaby, że spadł, pomimo pomocy Salki, i leżał teraz u stóp ogromnego drzewa, nie mogąc się wcale poruszać. Działanie trucizny rozpoczęło się.

Salka głośnym [illegible] buchnęła płaczem. Nie chciała i nie mogła odgrywać dalej roli Andrzeja, w godzinie śmierci musiała być we własnej osobie przy ukochanym. Rzuciła się [illegible] na kolana, i obejmując jego szyję, zawołała.

— Nie poznajesz mnie, Janie? Najdroższy mój! To ja, twoja [illegible] Ach, ty żyć będziesz, ja cię zawiozę do ojczyzny, przemów tylko słowo do mnie!

Dwie wielkie łzy spłynęły po bladej twarzy nieszczęśliwego rycerza.

— Salka! Moja Salka! — szepnął cicho. — Ach, ja nie zasłużyłem na twoją miłość, tak wierną i wzniosłą! Śmierć jest karą dla mnie za moją zdradę względem ciebie! Wybacz mi Salko, wybacz mi!

Zamiast odpowiedzieć, ucałowała Salka gorąco bladą twarz ukochanego.

Myślała ona, że pocałunkami swemi wróci mu zdrowie — ale Jan stawał się coraz to słabszym, trucizna odzywała się coraz to silniej.

— Słuchaj, — odezwał się Jan, — śmierć wyciąga już po mnie ręce! Nie pyta ona, czy serca ludzi pękają z rozpaczy — zabiera to, co chce — jest nieubłagana — okrutna. Ale ja ci muszę teraz oddać mój skarb — moje dłonie będą wkrótce zimne i martwe i ja nie zdołam spełnić powierzonego mi zadania! *W tem pudle, — dodał, wskazując na szkatułkę skórzaną, przywiązaną do siodła siwka, — znajduje się korona, przeznaczona dla króla Przemysława.* Zachowaj to w tajemnicy, Salko, i strzeż jej pilnie! Dokument Papieża, mianujący naszego księcia królem, znajduje się tam także. Jest więc wszystko, co być miało, wszystko, czego Przemysław żądał. Ach myślałem, że ja sam wręczę jedno i drugie królowi, że będę obecnym koronacyi, że otrzymam ciebie, najdroższa, w nagrodę — tymczasem, wszystko dla mnie stracone! Stałem się ofiarą własnej nieostrożności!

— Ale nie kochałeś prawdziwie Anieli! — szepnęła Salka płacząc.

— Kochać — nie! Byłem nią zachwycony, czarowała mnie jej piękność — ale potem, zaczęła mi się stawać coraz to więcej obojętną. Dziś, przed karczmą, szepnął mi złotnik, że ona na mnie czeka, że chce się ze mną pożegnać, musiałem więc iść — chociaż niechętnie.

Aniela znajdowała się na górze, w małym, słabo oświetlonym pokoju, a strój, jaki miała na sobie, podnosił jej piękność. Na stole stały dwa kubki z winem i talerz z owocami.

— Pójdź do mnie, — rzekła, — raz jeszcze będę szczęśliwą.....

— Muszę cię pożegnać, — odpowiedziałem, przyciskając do siebie pudło z koroną.

Nagle objęła Aniela moją szyję, i przytulając się do mnie, szepnęła:

— Słuchaj, co ci powiem, najdroższy! Zrobię ci pewną propozycyą......

— W takim razie spiesz się, — zawołałem. — Nie mam czasu — na dole stoi mój giermek z końmi....

Zręczna uwodzicielka nie miała już wpływu nademną!

Ale ona, nie wiedząc, co się w sercu mojem dzieje, zbliżyła się jeszcze więcej do mnie, i rzekła cichutko:

— Po co ty chcesz wracać do twej zimnej ojczyzny? Zostań lepiej tu, ze mną — tu czeka cię gorąca miłość i życie bez troski! Wypełnij moją prośbę, zostań ze mną, nie odjeżdżaj!

— Anielo — zawołałem oburzony, ale ona nie pozwoliła mi dalej mówić.

— Zostań u nas — zaczęła prędko — zatrzymamy tę złotą koronę, przeznaczoną dla twego króla, sprzedamy złoto i drogie kamienie i będziemy bogaci! Gniew twego króla nie może nas dosięgnąć, tutaj będziesz zupełnie bezpieczny! Zostań, Janie!

Poznałem teraz jej podły charakter i odepchnąłem ją od siebie. Wiedziałem już, jakimi ludźmi byli stary złotnik i jego siostrzenica, czyli właściwie żona.

— Precz nędzna uwodzicielko — zawołałem, — przy-

siągłem królowi memu wierność i nie stanę się złodziejem dla takiej jak ty — nikczemnej kobiety!

Aniela zbladła jak trup i ujęła puhar z winem.

— Mówiłam do ciebie to, — rzekła — co mi serce nakazywało, bo kocham cię — ach, kocham cię nad wszystko w świecie! Odjedziesz odemnie, opuścisz mnie, ale ja ci na zawsze wierna pozostanę! Na wspomnienie tej naszej miłości i tej ostatniej godziny, wypijemy kielich wina....

Tego nie mogłem jej odmówić. Wziąłem wino i wypiłem je do ostatniej kropli.

Ale w tejże chwili dał się słyszeć za mną szyderczy śmiech i obróciwszy się, spojrzałem prosto w oczy złotnika. Stał on zapewne ukryty za firanką, ale może też wszedł teraz dopiero do pokoju.

Gdy ujrzałem go śmiejącego się szatańskim istotnie śmiechem, przeczułem, że jakieś niebezpieczeństwo grozi mi ze strony tych łotrów i pobiegłem ku drzwiom, przewracając przy tej sposobności ławkę.

Ale drzwi były zamknięte.

I równocześnie zawołał Rosetti:

— Nie zabierzesz z sobą korony do Polski! Myślisz pewnie, że ja oddam w obce ręce takie bogactwa! Nie, mój drogi, ja kocham moje brylanty, które w koronie umieściłem, więcej, niż ci to wyrazić mogę, i nie dam ich nikomu w świecie! To moja własność!

Przypomniało mi się teraz, co mi opowiadano, to jest, że ci, którzy zamawiali kosztowne przedmioty z złota i drogich kamieni u mistrza Rosetti i otrzymywali je, bywali często zamordowanymi w dziwny, zagadkowy sposób, ale wszystkie te morderstwa przypisywano rozbójnikom.

Rosetti zwabiał ich pewnie w sidła tak jak mnie i zabijał bez miłosierdzia. Chciał on też i moje pieniądze i koronę. Dla tego namówił mnie do przybycia do tej ustronnej karczmy! Aniela miała mnie najpierw nakłonić do kradzieży a gdy na to nie przystałem, dali mi zatrutego wina do picia....

Może sądzili, że padnę tam zaraz nieżywy, ale moja silna natura oparła się długo działaniu trucizny!

Gdybym był umarł na miejscu, byliby ciebie też zabili. Ale Bóg nie dopuścił tego, i za to serdecznie jestem Mu wdzięczny. Zniosę z pokora to, co Bóg na mnie zesłał jako karę za moją zdradę względem ciebie, ale ty żyć będziesz! Najgorzej tylko, moja biedna Salko, że sama musisz odbywać tę uciążliwą podróż do domu! Ja umrę za chwilę, i ciało moje w obcym spocznie kraju. Nikt nie będzie się modlił na moim grobie...

— Nie, nie — zawołała Salka — ty żyć będziesz, Bóg nie pozwoli, abyś umarł i mnie samą zostawił! Ja nie mogę żyć bez ciebie! Jeżeli ty umrzesz, to i ja umrę!

Jan uścisnął jej rękę.

— Dziękuję ci za te słowa, ukochana — szepnął, — ale tylko jedno z nas może umrzeć! Ja skończę za chwilę, ale ty musisz wrócić do ojczyzny i oddać królowi koronę. On czeka na nią i nie powinien myśleć, że Jan, jego przyjaciel stał się złodziejem. Salko, ratuj mój honor!

— Uczynię, co mi każesz! Ale powiedz mi jeszcze, co się stało z złotnikiem! Jakim sposobem zabiłeś Anielę?

— Gdy się więc rzuciłem ku drzwiom, zawołał Rosetti:

— Nie spiesz się — jesteś otruty! W winie była trucizna, ucieczka nic ci zatem nie pomoże!

Na te słowa ogarnęła mnie prawdziwa wściekłość.

— I to ty nędznico — krzyknąłem, chwytając rękę Anieli — podałaś mi truciznę? Za to poślę cię do piekła!

I wyjąwszy sztylet, przebiłem jej fałszywe, podłe serce. Rosetti chciał jej bronić, ale ledwie zdołał się ruszyć z miejsca, już Aniela martwa leżała na ziemi.

Na widok nieżywej Anieli opanował szał starego złotnika. Krzyczał on, przeklinał, mnie i świat cały, rzucał się i tarzał po ziemi i wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że Aniela, młodsza od niego o lat piędziesiąt, była jego żoną i najdroższym skarbem na ziemi.

Ale ja nie zważałem na niego — jedynem mojem pragnieniem było: uciekać z tego domu!

Wiedziałem, że daleko nie zajadę, że śmierć może mnie zabrać każdej chwili, i co się potem stanie z koroną? Wtedy przyszedł mi na myśl mój wierny giermek i jemu to postanowiłem powierzyć ten klejnot kosztowny. Nie przeczuwałem, że Andrzejem byłaś ty, ukochana moja Salko!

Na szczęście zdołałem zbliżyć się do okna. Wytłukłem szybę, i zanim Rosetti się spostrzegł, zeskoczyłem na dół, nie pytając o to, czy rozbiję sobie głowę, czy nie. Tyle czasu byłbym zawsze jeszcze miał, aby oddać tobie koronę. Tymczasem Bóg pozwolił nietylko powierzyć skarb twoim rękom, ale nadto dał mi niespodziewane szczęście widzenia ciebie i uzyskania twego przebaczenia! Nie płacz Salko, powiedz, że mi wybaczasz moją winę!

— Ach, z całego serca, — wołała, zanosząc się głośnym płaczem. — Wszakże mówiłeś sam, że uczucie, jakie miałeś dla Anieli, nie było miłością, tylko szałem i pokusą, której się nikt oprzeć nie może. Ale ja ci teraz pomogę dosiąść konia, może zdołamy dojechać do jakiej wsi lub miasta, gdzie doktór mieszka — on ci da lekarstwo i wyzdrowi ciebie. Nie umieraj, Janie, ach, nie umieraj!

Ale dla Jana nie było już ratunku!

Leżał on bezsilny na ziemi, twarz z bladej zrobiła się zupełnie siną, grube krople potu wystąpiły na czoło, a oddech z trudnością dobywał się z zbolałej piersi.

Przez chwilę okropne zapanowało milczenie, oczy umierającego stały się błędne, jakgdyby nieprzytomne.

— Janie, poznajesz mnie? — szepnęła drżącym głosem.

Umierający pochylił głowę i ostatnim wysiłkiem podał jej rękę.

— Salko — jąkał już bez związku — oddaj królowi — koronę — krzyż — czarne brylanty — moje życie dla korony — niech mu szczęście da — Salko — ach, opiekuj się — —

I potem krzyknął okropnym głosem:

— Umieram!

A gdy Salka pochyliła się nad nim, widziała, że ukochany jej rzeczywiście nie żyje.

Trudno opisać, co się działo w duszy nieszczęśliwej dziewczyny. W obcym kraju sama — bez opieki przed nią trup narzeczonego i polecenie oddania królowi tak drogocennego przedmiotu — wszystko to przechodziło niemal jej siły.

Podróż przez dalekie kraje, przez liczne miasta i wsie, a co najgorsze, przez samotne lasy i puste stepy, ach, na myśl o tem opanowała rozpacz serce odważnej Salki. Było to zadanie nadludzkie prawie, ale, że Jan sobie tego życzył, przeto musiała je wypełnić! —

Przedewszystkiem jednak trzeba było pochować ciało zmarłego.

Za pomocą sztyletu wykopała w cieniu drzew dół tak głęboki, że ciało mogło się tam zmieścić, potem zerwała mnóstwo kwiatów i pokryła niemi zwłoki, zanim je ziemią znów przysypała. I taki był pogrzeb Jana!

— Miał on słuszność, — myślała z niezmierną goryczą, — żaden kamień, żaden krzyż nie wskazuje miejsca, na którem on spoczywa, nikt się tu modlić za niego nie będzie! Krwią swoją zapłacił koronę Przemysława!

Kilka godzin później dosiadła Salka swego siwka i w dalszą puściła się drogę.

Jaką była ta jej podróż, ile niebezpieczeństw jej groziło, o tem możnaby pisać całe tomy, dosyć, że ona wszystko zniosła, wszystko przetrwała, i że nareszcie po długich miesiącach, więcej podobna do ducha, niż do dawnej pięknej Salki, w podartem odzieniu, stanęła na dworze Przemysława.

I tak jak przybyła, okryta pyłem, zmęczona, upadająca z wycieńczenia, poszła do króla.

Przemysław nie mało się zdziwił, gdy mu oznajmiono, że jakiś młody chłopiec, w łachmanach prawie, chce się z nim widzieć, ale gdy powiedziano, że młodzieniec ten wraca z Rzymu, kazał go natychmiast przyprowadzić przed siebie.

Salka weszła do komnaty króla, trzymając pudło skórzane w rękach.

— Co to znaczy? — zapytał Przemysław. — Kto jesteś młodzieńcze i zkąd wracasz?

— Z Rzymu, i nie jestem mężczyzną, tylko kobietą, Salomeą, damą dworską miłościwej królowej.

— Co, tyś jest Salką, która przed rokiem znikła? I byłaś w Rzymie? — pytał król, niezmiernie zdumiony.

— Tak, w Rzymie! Towarzyszyłam Janowi, który był moim narzeczonym i którego bardzo kochałam! Posłałeś go, królu, do Rzymu.....

— Ah, mój wierny i dzielny przyjaciel! Gdzie on jest! Czemu nie przychodzi do mnie, bo sądzę, że wrócił! Mów Salko, gdzie się znajduje Jan?

— Jest on pogrzebany w górach Sabińskich królu, ja sama wykopałam mu grób!

Łzy stanęły w oczach Przemysława.

— Co, Jan nie żyje? — zawołał. — Ach, straciłem w nim najlepszego przyjaciela!

— Tak, panie! Jan pozostał wam wiernym aż do ostatniego tchnienia! Oddał mi też koronę dla was i dokument papieżki, mianujący was królem polskim! Przywiozłam wam jedno i drugie,.... Od tej chwili jesteście królem, panie!

Przy tych słowach otworzyła Salka pudło, a Przemysław krzyknął na widok arcydzieła złotnika Rosetti. Wrażenie, jakie ta korona na nim wywarła, było nieopisane.

Potem, ujął rękę Salki i uścisnął ją serdecznie.

— Dziękuję ci, — rzekł z głębokiem uczuciem — ale mniej za wręczenie mi tego arcydzieła, niż za to, że mi koronę w ogóle przywiozłaś. Bo przyznam się szczerze, że zaczynałem wątpić o powrocie Jana. Myślałem, że ogromna ilość złota, jaką wiózł z sobą, pobudziła go do grzechu i teraz cieszę się niezmiernie, że podejrzenie moje było fałszywe. Pamięć mego drogiego przyjaciela jest czystą i nieskalaną! Tobie zaś Salko jestem pod każdym względem tyle winien wdzięczności, że na zawsze pozostane twoim dłużnikiem. Objaw mi jakie życzenie, ja uczynię wszystko, co w mojej mocy!

— Dziękuję ci królu za tę obietnicę! Jedynem mojem życzeniem jest — wstąpić do klasztoru!

Przemysław cofnął się i zdumiony spojrzał na Salkę.

— Do klasztoru? — zawołał, — czy dobrze rozumiałem?

— Tak!

— Więc chcesz pogrzebać w murach klasztornych twoją młodość i piękność? Nie, ja na to nigdy nie pozwolę!

— W takim razie, — odrzekła Salka łagodnie ale stanowczo, — uczynię to przeciwko woli króla! Ale powzięłam raz ten zamiar, i nie odstąpię od niego! Kochałam Jana tak, że nigdy bym już innego pokochać nie mogła i tylko w ciszy klasztornej mogę się modlić za jego duszę i znaleść ukojenie mego żalu!

— Jeżeli zamiar twój jest niezłomny, — rzekł król smutnie, — to się opierać dłużej nie chcę! Możesz wstąpić do zakonu Klarysek i udać się tam jutro zaraz! Niech cię Bóg ma w Swej świętej opiece!

Salka rzuciła się na kolana, ale król podniósł ją natychmiast.

— Nie, — rzekł, — tu przedemną nie klękaj, — taka kobieta jak ty nie powinna królowi nawet oddawać hołdu! To ja raczej powinienem tak uczynić! Idź i znajdź spokój, którego pragniesz!

Nazajutrz udała się Salka, już znowu w szaty kobiece ubrana do klasztoru, i żyła tam jeszcze lat czterdzieści.

Po kilku latach swego tamże pobytu została ksienią i rządziła klasztorem bardzo umiejętnie, ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich zakonnic. Była ona prawdziwą matką chorych i opiekunką biednych, a śmierć jej pogrążyła w głębokim smutku nietylko zakonnice, ale i całą ludność okoliczną.

Przemysław koronował się uroczyście na króla polskiego, ale korona ta nie przyniosła mu szczęścia. W roku 1293 zamordowali go nieprzyjaciele. —

Korona Przemysława zdobiła dużo jeszcze głów panujących — jednym dała szczęście, drugim troski i kłopoty — ale tych więcej pewnie było, niż szczęścia!

I tę koronę, na której ciążyła krew Jana, trzymał teraz w rękach Bondi!

Znał on całą jej historję i rzekł sobie w duszy:

— Czy i mnie przyniesie ona nieszczęście?

Nie, przecież on z niej inny chciał zrobić użytek! Nie był królem, nie mógł jej nosić, dla niego miała się stać niewyczerpanem źródłem bogactwa! Każdy z tych kamieni posiadał wartość ogromną, a było ich dużo, cała korona była niemi obsypana.

A cóż dopiero ów krzyż z czarnych brylantów! On sam wart był może miljon!

I wszystko to stało się dziś jego własnością!

Bondi przyciskał czule koronę do serca jak gdyby jej chciał dziękować za to, że ją znalazł. Ona była teraz najdroższym jego skarbem, i dawała mu wszystko, o czem kiedykolwiek marzyć śmiał!

Ale nagle zadrżał.

Trzymał w rękach miljony, a jednak był więźniem i nie mógł wyjść z tego okropnego, podziemnego więzienia!

Wobec rozbójnika zaś nie mógł się przyznać do znalezienia korony, nie mógł mu ofiarować części swego skarbu, bo odebraliby mu wszystko, i zabiliby go w dodatku!

Ach, wolność! Najbiedniejszy żebrak mógł się nią cieszyć, a on, mający nieskończone bogactwa, siedział tu pod ziemią i mógł być każdej chwili odkrytym przez rozbójników!

Ale potem przyszła mu inna myśl do głowy i uśmiechnął się uradowany.

Skarbiec musiał przecież mieć drzwi, wiodące do lasu lub na pole, to było zupełnie jasne! Głowy ściętych nie leżały tu długo, najwyżej rok lub dwa, którędy więc wniesiono je? Że nie tą drogą, jaką on tu wszedł, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wapno na murze, które odskrobał, pochodziło przynajmniej z przed piędziesięciu laty, a więc nikt je nie ruszał i tamtędy do skarbca nie wchodził. Zresztą owa ogromna skrzynia nie byłaby się wcale przez otwór ten zmieściła.

Inne zatem drzwi musiały tu się znajdować, ale gdzie?

Bondi zbadał przedewszystkiem ściany, ale tam nic nie odkrył. Płyty marmurowe przylegały szczelnie jedna do drugiej i nigdzie nie było śladu drzwi lub przejścia.

Posadzka i kolumny nie wskazywały również żadnej szczeliny.

Ale skrzynia!

Zapewne pod nią ukryte były drzwi! Że też to mu zaraz na myśl nie przyszło!

Bondi uchwycił obydwiema rękami skrzynię i usiłował ją posunąć dalej, ale pomimo, że użył całej swej siły, nie mógł jej ruszyć z miejsca. I teraz spostrzegł dopiero, że była ona przytwierdzoną do podłogi żelaznemi klamrami.

Przynajmniej dwóch mężczyzn musiałoby tu cały dzień pracować, nad przepiłowaniem tych żelaznych płyt!

Bondi był w rozpaczy, ale nie przestawał szukać. Przeczuwał on, że skrzynia ta musi stać w styczności z tajemnemi drzwiami i rzeczywiście, po długiem badaniu zauważył, że pod przegrodą, w której znalazł pudło z koroną, znajdowała się jeszcze jedna przegródka.

— Nareszcie! — zawołał uradowany.

Była tam istotnie zasuwka, otwierająca z łatwością dno skrzyni.

— A więc tu są drzwi, — pomyślał, wchodząc w skrzynię.

Pudło z koroną trzymał mocno prawą ręką, lewą podpierał się przy schodzeniu z stopni, których wiele nie było. Potem stanął w wązkim, ciemnym, murowanym ganku, kończącym się znowu drzwiami. Ale te mógł zaraz otworzyć, albowiem ledwie przymknięte były i po upływie kilku chwil stanął Bondi w lesie, szczęśliwy i niezmiernie z siebie zadowolony.

Co mi się nadzwyczajnem wydało, było to, że nie widział wokoło żadnego zamku, i że podziemny ganek kończył się widocznie w lesie.

Drzwi, któremi teraz wyszedł, były wykute w skale, każdy zaś, kto je ujrzał, musiał myśleć, że wiodą one do sklepów, które wieśniacy w skałach sobie urządzają, dla przechowania zapasów żywności w lesie.

Ale Bondi nie oglądał się długo, obawiał się zawsze jeszcze rozbójnika, i uciekał, ile mu sił starczyło.

— Teraz jestem bogaty, — mówił sobie w duszy, — nowe życie zacznie się dla mnie! Mogę mieć wszystko, czego serce moje zapragnie, a pierwszą którą sobie kupię, będzie Teresa Krones! Ona musi być moją!

### ROZDZIAŁ LXII.

*Gdy mężczyźni przysięgają!*

Pierwsze promienie słoneczne padały na skałę, na której się wznosił stary zamek Henryka Orsańskiego. W ponurych komnatach panowała głęboka cisza.

Służba spała jeszcze w najlepsze, jeden tylko czuwał, a tym był Henryk.

Chodził on wolno po swej sypialni, twarz jego śmiertelnie była bladą i oczy smutnie patrzały w dal. Nie spał on całej nocy, to też czuł się niezmiernie zmęczonym i przygnębionym.

Po chwili zbliżył się do okna.

Ziemia śniegiem była jeszcze pokryta — a na tleniem

że wznosiła się wysoka, wysmukła wieża kościoła ze wsi hrabiego Dernburga.

Tuż przed zamkiem Henryka zaczynał się tak zwany wąwóz piekielny, owa straszliwa przepaść, z której sterczały, pozbawione liści, wysokie drzewa. Jak tam na dnie tej przepaści wyglądało, tego nikt nie wiedział, ale można było cądzić, że to najodpowiedniejsze miejsce dla czarownic i złych duchów.

Henryk drżał, jak we febrze, a przed oczami jego duszy okropne stały widma.

On kazał człowieka zabić!

Na jego rozkaz zastrzelono leśniczego Horna siedmiu kulami, i jeszcze teraz wisiało ciało jego w lesie, niepochowane, wystawione na pastwę dzikich zwierząt.

Wiedział on wprawdzie, że Horn od dawna już zasłużył na śmierć, że on tylko wymierzył mu sprawiedliwość, i oddał przysługę całej okolicy, uwalniając ją od takiego łotra, a pomimo to — stawiał sobie ciągle pytanie, czy miał prawo do tego i czy może za czyn swój śmiało odpowiedzieć przed Bogiem i ludźmi!

— Na mój rozkaz zamordowałem go, — szeptał, przyciskając rozpalone czoło do chłodnej szyby, — a zatem mam jedno życie ludzkie więcej na sumieniu! Ach, okropnem jest moje życie! Czy podobno, że ja, niegdyś najświetniejszy kawaler w Wiedniu, jestem teraz rozbójnikiem, przed którym drży cała okolica? Ach jak szczęśliwy byłem wówczas! I pomimo mej szalonej lekkomyślności byłem lepszym, szlachetniejszym! Bawiłem się i trwoniłem majątek, byłem jednak swobodnym i miałem spokojne sumienie, a dziś! Ach, gdybym był wówczas wiedział, do czego doprowadza lekkomyślność! Upadłem nizko, ale nie moja jest w tem wina! Inni zgrzeszyli także względem mnie, namawiając do złego, zamiast powstrzymywać mnie od wyrzucania pieniędzy i trwonienia ojcowizny. Bóg mi świadkiem, że nie miałem złych skłonności i gdybym był prędzej poznał Teresę....

Ale teraz nie ma już dla mnie ani ratunku, ani najmniejszej nadziei szczęścia! Z kałuży, w jakiej się znajduję, nic mnie nie wybawi! Dziś jeszcze osądzę jednego złoczyńcę i wydam wyrok na niego, na mego śmiertelnego wroga. Byłbym szalonym, gdybym go zabić nie kazał!

Bondi musi umrzeć i to okropną śmiercią — już to samo, że śmiał podnieść oczy na Teresę! Sama Fedora powiadała mi, że zwabił Teresę do ustronnego domu i o mało jej tam nie zamordował! Fedora ocaliła ją przecież! Nie, nie mam litości dla tego nikczemnika, on musi umrzeć! Poczekam do wieczora z wydaniem wyroku! Z więzienia, w którem się znajduje, nie może uciec.....

W tejże chwili zapukano do bramy zamkowej i to tak silnie, że Henryk mimowoli drgnął.

— Kto to może być? — pomyślał, — czy siepacze przychodzą po mnie? Czy żandarmi dowiedzieli się, że jestem dowódzcą opryszków tatrzańskich?

Pukanie powtórzyło się.

— Służba śpi, muszę więc iść sam — chociażby i żandarmi żądali tu wejścia..... Na szczęście, mam w pierścionku truciznę — żywego nie wezmą mnie!

Henryk okrył się płaszczem i zeszedł na dół.

— Kto tam? — zapytał przez zamkniętą bramę.

— Otwórzcie — jestem podróżnym — dał się słyszeć donośny głos męzki.

Henryk otworzył natychmiast drzwi, i ujrzał przed sobą wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę, otulonego płaszczem tak, że twarzy jego nie można było dojrzeć.

— Przyjmiecie biednego wędrowca? — zapytał nieznajomy. — Proszę tylko o trochę chleba i wody....

— Dziwnie mi znajomy głos, — pomyślał Henryk, dodając głośno:

— Dam wam wszystkiego, czego potrzeba. Chodźcie bliżej.

Ale nieznajomy rzucił się teraz na Henryka, objął go w pół i silnie do serca przycisnął.

— Jesteś sam? — szepnął.

— Tak, jestem sam — to jest — służba znajduje się w zamku — ale tu nie ma nikogo.

Henryk nie wiedział co to znaczy i uwolnił się szybko z objęć nieznajomego.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał tenże.

— Ah, teraz wiem! Jak się masz, stary przyjacielu! — zawołał Henryk, ściskając ręce gościa.

W następnej chwili padli sobie w objęcia, a w oczach Henryka błysnęły łzy.

Gościem tym był hrabia Bilewski.

Henryk zaprowadził go do swego pokoju i tam dopiero zauważył, że Bilewski miał na sobie ubranie pastucha.

I on bowiem był wygnańcem i musiał się strzedz niezmiernie, aby nie wpaść w ręce żołnierzy lub żandarmów.

— Zkąd się dowiedziałeś, — zapytał teraz Henryk — że ja tu mieszkam?

— Robotnicy Dernburga mówili mi o tem, — odrzekł hrabia — a że zamek ten był oddawna celem mych dążeń i podróży, przeto wiedziałem, że będę tu u ciebie bezpiecznym!

— Pozwól, że się tobie przyjrzę — rzekł Henryk po chwili. — Posiwiałeś bardzo, biedny przyjacielu, i zmarszczek ci na twarzy przybyło, nie jesteś już takim, jakim byłeś dawniej!

— Tak, nie mylisz się! Dziwię się czasem, że nie straciłem jeszcze zmysłów! Pomyśl tylko — zabrano mi wszystko, co posiadałem, żonę, córkę i wnuczkę wygnano na Sybir — czy żyją, czy pomarły z głodu i wycieńczenia, Bóg wie! Ja nic o nich nie słyszałem! Zabrano mi majątek, mój dom rodzinny spalony — ach, czy mógłby kto pod takiemi warunkami zachować swobodę umysłu!

— Jest to okropny los, i żałuję cię z całego serca! Ale innym też nie lepiej, pomyśl tylko o Adamie Starzyckim!

— Nie słyszałeś czego o nim?

— Nigdy!

Henryk rzeczywiście nie przeczuwał, że najlepszy przyjaciel przebywał miesiące całe w jego najbliższem sąsiedztwie, w zamku Łąka.

— Ale teraz, — rzekł — każę ci podać śniadanie, jesteś zapewne głodny i zmęczony! Przypuszczam, że szedłeś całą noc!

— Ja zawsze tylko idę nocą — odpowiedział Bilewski, — wygnańcy tułacze lękają się światła dziennego!

Henryk wyszedł, kazał przygotować śniadanie i pół godziny później stała na stole herbata, zimne mięso, chleb i masło. Hrabia jadł chciwie, od wczoraj rana bowiem nic w ustach nie miał.

Gdy po zaspokojeniu głodu zapalili przyjaciele cygara, rzekł Henryk, nie tając wcale swej ciekawości:

— Mówiłeś poprzednio, że celem twej podróży był mój zamek. Wszakże się nie mylę?

— Nie, mówiłem to rzeczywiście — odpowiedział Bilewski poważnie.

— I nie wiedziałeś, że ja tu mieszkam?

— O tak, wiedziałem, że zamek ten do ciebie należy.

— Ale nie przypuszczałeś, że mnie zastaniesz w domu?

— Nie!

— Więc czego tu chciałeś? Czy szukać jakich skarbów w tych starych murach?

— Mam pewien obowiązek do spełnienia — muszę się przekonać, czy jedyny skarb, jaki my Polacy jeszcze posiadamy, znajduje się w bezpieczeństwie.....

— O jakim skarbie ty mówisz?

Bilewski obejrzał się uważnie w około, ale Henryk upewnił go, że tu nikt nie podsłuchuje.

— Powiem ci więc, — szepnął Bilewski, — co mnie tu przywiodło. — Ty nic nie przeczuwasz, nie domyslasz się niczego — nie — bo nie znasz tej tajemnicy!

— Jakiej tajemnicy?

— Gdzie się znajduje nasza stara korona polska!

— Korona polska? Owszem, przyjacielu, wiem to bardzo dobrze — dowiedziałem się przypadkiem gdzie jest ukryty cały nasz skarb wojenny, ale nie wiem, czego ty tutaj chcesz szukać!

— Korona jest w twoim zamku! Gdzieżby miała być?

— Zupełnie gdzieś indziej!

— Więc gdzie?

Tym razem obejrzał się Henryk uważnie, zanim odpowiedział:

— Cały skarb wojenny znajduje się pod opieką rabina w Sadogórze!

Bilewski roześmiał się.

— Zkąd ty przychodzisz na tę myśl! — zawołał. — Nie, mój kochany, drobniejsze klejnoty i trochę pieniędzy ma istotnie tamtejszy rabin, ale korony, mającej wartości kilku milionów, nie powierzylibyśmy żydowi. W koronie tej pokładamy całą naszą nadzieję, a żyd......

— Przecież są też i uczciwi żydzi, — przerwał Henryk.

— Czemu nie. ale korony nie bylibyśmy nigdy powie-

czyli ludziom, bo taki skarb mógłby każdego, chociażby i najuczciwszego nakłonić do grzechu!

— Ale ja tego wszystkiego jeszcze nie rozumiem! Wiem napewno, że korona znajduje się u rabina w Sadogórze, a ty twierdzisz, że jej tam nie ma. Kto z nas ma słuszność?

— Ja, — zawołał Bilewski, — rabin nie ma z koroną nic do czynienia! Powiedz mi tylko, zkąd w twojej głowie powstała w ogóle ta myśl?

— Jest to rzecz bardzo prosta, znalazłem wzmiankę o tem w liście pewnego — umarłego.

I Henryk opowiedział gdzie i jak znalazł list, pisany przez jednego z wtajemniczonych w tę sprawę.

— Stało tam wyraźnie, — dodał, że cały skarb wojenny i korona znajdują się pod opieką rabina w Sadogórze!

— I zachowałeś dotąd tajemnicę? — zapytał Bilewski.

— Jak możesz o tem wątpić! Nie zdradzę przecież takiej ważnej rzeczy!

— No, to dobrze w interesie rabina, bo rząd byłby go dawno wysłał na Sybir lub męczył tak długo, dopóki by nie był wyznał, gdzie koronę ukrywa. Ale on nic o niej nie wie!

— Wytłumacz mi więc teraz, o co właściwie chodzi!

— O to, że korona polska znajduje się tutaj, w twoim zamku!

— Nie może być!

— Tak jest.

— Ależ ja o tem pojęcia nie miałem! Gdzie ona schowana? Kto ją tu przyniósł?

— Ja i Adam Starzycki! Przynieśliśmy ją tutaj przed kilku laty, wiedząc, że w tym zamku istnieje tajny skarbiec, zupełnie bezpieczny....

— Ja i o tem nic nie wiem, — zawołał Henryk zdumiony.

— Co, ty, dziedzic tego zamku, nie wiesz, że przodkowie twoi zbudowali marmurowy skarbiec głęboko pod ziemią?

— Nie!

— Więc nie znasz pewnie tajnego ganku....

— Jakiego ganku?

— Wiodącego z skarbca wprost do lasu!

Zdziwienie Henryka nie miało granic. O tem, co mówił Bilewski, nie słyszał on nigdy — może być, że ojciec jego znał tajemnicę zamku, ale jemu nigdy o nich nie wspominał.

— Adam i ja, — zaczął znowu Bilewski, — przynieśliśmy tu koronę i schowaliśmy ją w skrzyni, stojącej w skarbcu. Na wierzch położyliśmy głowy ściętych przyjaciół i znajomych naszych — ma to być pamiątka krwawych dni — relikwie narodowe — potem wybiliśmy dno skrzyni i przymocowaliśmy ją tak do podłogi, że przykrywa ona drzwi, wiodące do ganku.....

— W jakim celu zrobiliście to?

— Powiedzieliśmy sobie, że może będziemy musieli kiedyś potajemnie wynosić koronę z zamku.... Gdyby nas Moskale ścigali aż do sklepu to mielibyśmy zawsze jeszcze czas do uciekania do skarbca, a gdyby nam zastawiono do niego drogę, zabralibyśmy koronę i bylibyśmy ocaleni Do tej ostateczności nie przyjdzie pewnie! Wszakże zamek twój nie był dotąd jeszcze nawiedzanym przez Moskali?

— Nie, przecież ja mieszkam w Galicyi, i dla tego Moskale nie mają prawa napadania mnie!

— Nie byłeś nigdy w podziemnym skarbcu? — zapytał Bilewski raz jeszcze.

— Nie, mówiłem ci już, że nic o jego istnieniu nie wiem!

— A służba twoja?

— Oni jeszcze mniej niż ja mają pojęcia o tajemnicach zamku. Nikomu się pewnie ani śniło, że korona polska znajduje się tutaj.

— Dobrze, — rzekł Bilewski wstając, — w takim razie musi ona być w skrzyni! Proszę cię, idźmy zaraz! Idźmy do podziemnego skarbca — wezmę koronę.......

— Jakto, zabierzesz ją z sobą? — zawołał Henryk przestraszony. — Dokąd chcesz ją zawieść, gdzie ukryć? Wszakże tu jest tak bezpiecznie schowana......

— Ach nie, przyszedłem po nią dla tego, aby — tu głos Bilewskiego zadrżał silnie, — aby — ona znikła raz na zawsze — rozumiesz?

Henryk cofnął się.

— Co ty mówisz! — szepnął z niedowierzaniem. — Nasz skarb jedyny, nasza świętość — ma zniknąć! Nie, ja ciebie nie zrozumiałem, bo to niemożliwe!

— Ha, trudno! Konieczność wymaga tej ofiary! Muszę uciekać z koroną za granicę, muszę wyłamywać drogie kamienie i sprzedawać je. Kosztowały one niegdyś dziesiątki milionów!

— Na co ci potrzebne te miliony?

— Na prowadzenie wojny!

— Wojny?

— Tak, — krzyknął Bilewski namiętnie, — na wojnę z Moskalami, z tyranami, którzy nam ojczyznę zabrali! Za te miliony kupimy żołnierzy i wypędzimy z kraju wroga! Jest to ostatnia próba — jeżeli się nie powiedzie, wtedy wszystko skończone, nadziei nie będzie żadnej! Ale idźmy teraz, Henryku, ja nie mam czasu do stracenia!

— Idę już, — odrzekł Henryk, wyjmując z szafy latarnią.

Po chwili wychodzili obydwaj z pokoju, ale Henryk zatrzymał się nagle.

— Na miłość Boską — zawołał — co ja robię! Zapomniałem zupełnie, że w sklepie mam więźnia!

— Więźnia? — powtórzył Bilewski zdumiony. — Jakiem prawem więzisz ludzi w twoim domu?

— Skoro ci wymienię nazwisko tego człowieka, to zrozumiesz wszystko!

— Więc kto to jest?

— Ten, który zdradził nas wszystkich — baron Bondi.

— Bondi! — krzyknął Bilewski, a oczy jego dziką błysnęły radością. — Jest on rzeczywiście w twoich rękach? Uwięziłeś go? Ach, wyświadczyłeś ojczyźnie wielką przysługę! Trzeba go zabić, koniecznie, aby raz ludzi uwolnić od tej jadowitej gadziny!

— Stanie się to — odrzekł Henryk. — Dziś w nocy wydam na niego wyrok śmierci! Każę go powiesić w lesie, albo zepchnąć w przepaść....

— Stryczek jest dla niego najlepszym!

— A więc będzie wisiał! Teraz, gdy już wiesz, kto jest moim więźniem, możemy iść do sklepu. Zobaczysz tam tego szpiega i zdrajcę, upokorzonego głęboko... Ale nie daj się wzruszyć jego łzami i prośbami, on musi umrzeć!

— Mnie on nie rozczuli — odrzekł Bilewski, wzruszając ramionami. — Moje serce bardzo jest dziwne — mogę płakać razem z płaczącem dzieckiem, nie zabiłbym muchy, ani żadnej bym jej nie wyrządził krzywdy, ale nie mam litości dla ludzi złych i fałszywych! Z przyjemnością zabiłbym ich natychmiast!

— Więc idźmy!

Henryk szedł naprzód z latarnią, Bilewski postępował za nim.

Coraz głębiej pod ziemię wiodły żelazne schody — nareszcie stanęli obydwaj przed wielkiemi drzwiami, wiodącemi do sklepu.

Bilewski wziął klucz i włożył go w zamek.

— Bondi śpi zapewne — rzekł — nic się w sklepie nie rusza.

— Tem lepiej! Zbudzę go kopnięciem nogi — odpowiedział Henryk z niezwykłą sobie zaciętością.

Bilewski otworzył drzwi i Henryk wszedł pierwszy, z podniesioną latarnią.

Gdzie twój więzień? — zawołał Bilewski oglądając się wokoło, — ja go nie widzę!

— Ukrył się pewnie ze strachu w jakim kącie — wiesz przecież, że taki łotr jak on jest tylko wobec słabszych odważnym — wobec silniejszych zaś wije się jak robak na ziemi i drży ze strachu!

I Henryk zaczął go szukać....

Lecz nagle krzyknął przeraźliwie:

— Sklep jest próżny! Bondi uciekł!

Był to dla Henryka cios okropny. Całej jego egzystencyi groziło straszne niebezpieczeństwo, bo chociaż go Bondi nie poznał pod maską, to łatwo mógł się dowiedzieć, do kogo należy zamek, w którym go uwięziono. I wtedy dowiedzą się wszyscy, że dowódzcą opryszków tatrzańskich jest hrabia Orszański....

Myśl ta przerażała go tak, że pozbawiała go nieomal przytomności. W pierwszej chwili nawet słowa wymówić nie zdołał!

(Ciąg dalszy nastąpi.)